

Kwietne łąki także w Gorzowie

W parku Górczyńskim i trzech innych miejscach łąki już rosną.

Przy ich zasiewie posłużono się dwoma metodami. Wiosną okaże się czy obie są równie skuteczne. To pozwoli na podejmowanie decyzji w przyszłym roku. A warto, bo w 2021 zaplanowano stworzenie łąk w kolejnych 6 miejscach w Gorzowie.

Jesienią tego roku Wydział Gospodarki Komunalnej i Transportu Publicznego, który zajmuje się również miejską zielenią, pod okiem fachowców z Polski, mających doświadczenie w zakładaniu łąk kwietnych zlecił wykonanie łąk kwietnych w parku Górczyńskim, parku 750-Lecia Gorzowa, alei księdza Andrzejewskiego i na skarpie przy ul. Matejki.

Łąki wykonano w dwóch technologiach przygotowania gruntu. Pierwszy - polegał na pełnym przygotowa-



Wiosną okaże się, czy kwietne łąki zakwitną także w Gorzowie

niu wraz z przekopaniem ziemi i wybraniem roślinności naturalnie porastającej teren, a następnie zasiewem nasion roślin łąkowych - tak stało się w parkach Górczyńskim i 750-Lecia.

Drugi - polegał na bardzo niskim skoszeniu roślinności naturalnie porastającej wybrane miejsce, zebraniem pokosu), a potem wysiewie nasion roślin łąkowych. Tak zrobiono na pasie środkowym alei ks. Andrzejewskiego, na skarpie skweru z pla-

cem zabaw przy ul. Matejki oraz w drugiej części parku 750-Lecia. Do zasiewu zastosowano mieszankę 40 specjalnych gatunków roślin łąkowych.

Wiosną okaże się, czy obie metody przynoszą dobre efekty i czy warto je stosować w dalszych planach tworzenia łąk kwietnych w Gorzowie.

W 2021 roku miasto przygotowuje się do założenia łąk kwietnych w 6 kolejnych miejscach - w parku przy szpitalu psychiatrycznym, w parku Słowiańskim, na pasie rozdzielającym jezdnię ulicy Słowiańskiej, na błoniach przy Kłodawce przy ul. Chodkiewicza, na skwerze na rogu Kosynierów Gdyńskich i Matejki oraz na skwerze przy ul. Okólnej.

WIESIAW CIEPIELA
RZECZNIK PRASOWY UM

Bezcenny skarb trafił do biblioteki

Pamiętnik, listy oraz teksty poetyckie Papuszy - Bronisławy Wajs, trafiły do biblioteki.

Udało się to dzięki mediacji wojewody lubuskiego, Władysława Dajczaka.

- To skarb, który nie ma ceny, nie można go w żaden sposób wycenić w sensie materialnym. Dla kultury to zjawisko samo w sobie, s absolutnie odrębnego. Przecież Papusza była pierwszą poetką z tego środowiska, która zapisywała swoje pieśni, zwane dziś przez nas wierszami - mówi szczęśliwy Sławomir Szenwald, dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta. To tu trafił po latach cenny depozyt i przeszedł na własność państwa polskiego.

Wśród dokumentów, jakie trafiły do księżnicy, są karty jej pamiętników, zapisane wiersze, listy do braciszka, czyli Jerzego Ficowskiego, ale też do Juliana Tuwima. Znaczenie tego archiwum jest niemożliwe do wycenienia, ponieważ przede wszystkim zadaje kłam tezie, że Papusza, Bronisława Wajs pisać nie umiała.



Rękopisy Papuszy będą opracowane, przeniesione na nośniki cyfrowe i zabezpieczone

Całość archiwum Papuszy do dziś znajdowała się w rękach Stowarzyszenia Twórców i Miłośników Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs Papuszy, a więc opiekował się nią Edward Dębicki, Honorowy Obywatel Gorzowa, twórca Cygańskiego Teatru Tańca Terno, prywatnie rodzina poetki. Mediacja wojewody lubuskiego doprowadziła do przekazania bezcennych dokumentów księżnicy.

Całość zostanie przeniesiona na nośniki cyfrowe, następnie troskliwie spakowana w beżowe tektury i poprzekładana bezkwasowym papierem i złożona w skarbonce książnicy. Niestety, aby spuścizna tej niezmiennie ciekawej poetki w domenie publicznej znajdzie się dopiero za 33 lat, bo zgodnie z prawem, musi minąć 70 lat od śmierci autora, aby prawa stały się publiczne.

Więcej o Papuszy piszemy na s. 8.

ROCH

Dziewczyna na schodach i widok na katedrę

Powstawał kilka dni, ale jak już powstał, to zachwycił większość.

Najnowszy mural jest wyjątkowy, bo w formie 3D. Mural w centrum Gorzowa wyszedł z rąk autora doceniającego muralu śródeckiego w Poznaniu. Jak opowiada jego twórca, prof. Radosław Berek, pierwsze pomysły na formę kompozycyjną pojawiły się rok temu. Samo opracowanie projektu też trochę trwało. Autorowi chodziło, aby przestrzeń mogła być wizualnie ciekawą. - Teraz zapewne wielu kierowców, którzy wjeżdżają na rondo będzie zaskoczonych widząc przykładowo w otwartych oknach ludzkie postacie. Jak będzie pełnia zimy, to będą zastanawiać się, jak ciepło muszą to być mieszkania, skoro lokatorzy pozwolili sobie na otwarcie okien - mówił podczas symbolicznego odsłonięcia na początku grudnia 2020 roku.

Mural zajmuje całą północno-zachodnią ścianę w kamienicy, w której mieści się siedziba między innymi Uniwersytetu Trzeciego Wieku, u zbiegu ul. Jagiello i Walczaka. Najlepiej go widać sprzed wejścia do Białego Kościoła. To przestrzenne malowidło, które patrzy na katedrę i kilka innych budynków. Na schodach wiodących do wyjścia widać postać z plecakiem z uniesionymi rękami. W oknach po obu stronach dzieją się pojedyncze historie zwykłych gorzowian. Na poziomie chodnika stoi dziewczyna, obok której można się ustawić do zdjęcia. A gdzieś tam przycupnął kotek. Malowidło żyje, bo już gorzowianie już zaczęli się przestrzegać, aby na tym rondzie uważać. - Można z wrażenia wjechać w ścianę - żartują niektórzy.

Mural w koncepcji nawiązuje do słynnego Muralu na poznańskiej Śródcie, ale trudno się dziwić, ponieważ i jeden, i drugi mają tego samego autora, prof. Radosława Berek, architekt i wykładowca Politechniki Poznańskiej. A bywalcom w podberlińskim Poczdamie mural kojarzy się także z wejściem do pałacu Sanssouci, bo faktycznie można dojrzeć podobieństwa. Natomiast najmłodszym gorzowianom, lat pięć i sześć, mural



Autorem niezwykłego muralu jest prof. Radosław Berek

nie kojarzy się z czymś ważnym, natomiast zachwyca. - Bo jest taki ładny i taki duży - mówią przedszkolaki z pobliskiego przedszkola.

Fundatorem muralu jest PGE Energia Ciepła S.A. Oddział Elektrociepłownia w Gorzowie Wielkopolskim z okazji swoich 70. urodzin. Pierwszy w Gorzowie mural przygotowany w technice 3D powstał dzięki wsparciu Wydziału Obsługi Biznesu i Inwestora, zaangażowaniu wiceprezenta Jacka Szymankiewicza i miejskiego architekta Dariusza Górnego. Organizacyjnie Miasto wspierał Zakład Gospodarki Mieszkaniowej.

Elektrociepłownia zaprosiła do współpracy prof. Radosława Barkę z Politechniki Poznańskiej. To absolwent architektury na Politechnice Poznańskiej, gdzie do dziś wykłada. W ramach pracy badawczej zajmuje się: architekturą mieszkaniową realizowaną ze środków publicznych, małymi miastami, materiałami naturalnymi i miejscowymi w architekturze współczesnej i dawnej (głina, słoma, ruda darniowa, itd.), architekturą rodzimą (regionalną i miejscową), związaną z tożsa-

mością miejsca, powszechną edukacją przestrzenną i architektoniczną.

Jest twórcą stowarzyszenia „Wędrowni Architekci”, której celami statutowymi są: poznanie wielowątkowości przestrzeni kulturowej, upowszechnianie wiedzy o lokalnym i regionalnym dziedzictwie kultury materialnej i niematerialnej oraz propagowanie postulatów Karty Drahimskiej.

Jest autorem słynnego muralu na poznańskiej Śródcie, „Opowieść śródecka z trębaczem na dachu i kotem w tle”, trójwymiarowego malunku na budynku przy ul. Śródka 3/ Rynek Śródecki, Filipińska (naprzeciwko śródeckiego kościoła), odsłonięty 1 października 2015. Malowidło powstało w oparciu o zdjęcie pochodzące z lat 20. XX wieku, za który w 2016 roku dostał nagrodę w kategorii zdżalenie architektoniczne w konkursie na Nagrodę Roku SARP 2016 oraz National Geographic Polska w kategorii 7 nowych cudów Polski.

Trzy pytania do prof. Radosława Barkę publikujemy na s. 2.

ROCH

KALENDARIUM Styczeń 2021

● 1.01.
1950 r. - w Gorzowie wznowiono komunikację tramwajową.
1905 r. - urodził się Jan Korcz, artysta-malarz, pionier Gorzowa, organizator słynnej „akademii pana Jana” dla artystów-amatorów, zm. w 1984 r.

● 2.01.
1960 r. - wznowiono komunikację autobusową, uruchamiając pierwszą po wojnie linię autobusową; na trasę linii 101 Marcinkowskiego-Śląska wyjechało pięć autobusów San.
1960 r. - powołany został Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie, jako 117 scena państwowa w kraju.

● 5.01.
1997 r. - siatkarze Stilonu zdobyli Puchar Polski; największe osiągnięcie sportowe w 50-lecie klubu.

● 11.01.
1992 r. - zm. Edward Jancarz (45 l.), najwybitniejszy gorzowski żużlowiec, zawodnik Stali Gorzów (1965-1985) i Wimbledonu (1977-1983), 12-krotny medalista MŚ, 11-krotny uczestnik IMS, dwukrotny mistrz Polski w 1975 i 1983, trzykrotny zdobywca „Złotego Kasku”.

● 13.01.
1963 r. - na lodowisku przy budynku dzisiejszej AWF rozegrano pierwszy mecz hokejowy między drużyną Miejskiego Ośrodka Sportowego a zespołem Studium Nauczycielskiego. W 2009 r. - zm. Aleksander Dziłne (80 l.), b. prezes KS Stal (1967-1972), pionier miasta, budowniczy stadionu żużlowego.

● 15.01.
1938 r. - ur. Ryszard Sawicki, b. działacz opozycyjny, b. dyrektor szpitala (1991-1997), pierwszy przewodniczący RM, jeden z organizatorów sportu niepełnosprawnych w Polsce, zm. w 2000 r.

● 16.01.
2003 r. - zm. ks. kanonik Jan Pikuła (49 l.), od 1984 r. - pierwszy proboszcz parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Gorzowie i budowniczy kościoła, kapelan lubuskich myśliwych i policjantów.

● 17.01.
1944 r. - ur. Henryka Żbik-Nie-rubiec, artystka plastyk, specjalizująca się w tkaninie artystycznej, zm. w 2001 r.

1996 r. - zm. Aleksander Fogiel (86 l.), b. aktor gorzowski (1979-1980), odtwórca m.in. roli Maćka z Bogdańca w filmowej wersji „Krzyżaków” Aleksandra Forda i sołtysa w „Samych swoich” Sylwestra Chęcińskiego..

2013 r. - zm. Marian Klaus (86 l.), kompozytor, instrumentalista, stroiciel instrumentów, bard dawnej „Casablanki”.

● 20.01.
2000 r. - zm. Władysław Klimek (73 l.), nauczyciel fizyki, esep-rantysta, działacz katolicki, b. radny (1990-1994), b. prezes Klubu Inteligencji Katolickiej, działacz „Wspólnoty Polskiej”.

Nowym pociągiem pojedziemy w Polskę

O kolejne dwa nowe pociągi wzbogacił się lubuski tabor kolejowy.

Zostały one zakupione przez Urząd Marszałkowski w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego - Lubuskie 2020, a ich największą zaletą jest to, że są trójczłonowe.

- Dzięki temu mogą pomieścić nawet do 330 pasażerów, z czego miejsc siedzących jest tutaj 160 - mówi maszynista-instruktor **Jacek Śmiałek**, który dzisiaj poprowadził jeden ze składów na próbną jazdę z Gorzowa do Strzelec Krajeńskich i z powrotem.

Nowe pociągi będą kursować na trasie Kostrzyn - Gorzów - Krzyż - Poznań Główny. Obsługą m.in. popularne wśród mieszkańców północnej części naszego województwa pociągi „Kłodawka”, „Wilda” oraz „Ujście Warty”. Jak zwrócił uwagę członek zarządu województwa **Tadeusz Jędrzejczak** pasażerowie powinni być z tego zakupu bardzo zadowoleni, bo



Największą zaletą nowych pociągów jest to, że są trójczłonowe

często dwuczłonowe składy nie były w stanie zapewnić odpowiedniego komfortu pasażerom, szczególnie tym jeżdżącym do Poznania, gdyż posiadały za mało miejsc. Teraz nie powinno być z tym kłopotów.

- Jako województwo mocno stawiamy na rozwój przewozów kolejowych, o czym świadczyć coraz wyższe pieniądze przeznaczane na ten

obszar komunikacji. Bardzo nam zależy, żeby zapewnić wszystkim mieszkańcom dostęp do transportu, również tym mieszkającym na obszarze gorzej skomunikowanym - zauważa **Marcin Jabłoński**, członek zarządu województwa odpowiedzialny za infrastrukturę i komunikację.

Obecnie zakupione zespoły trakcyjne z napędem

spalinowym typu 36WEhd są jednymi z najnowocześniejszych pojazdów w Polsce. Osiągają prędkość maksymalną 120 km/h, są wyposażone w audiowizualny system informacji pasażerskiej, bezprzewodowy dostęp do Internetu, a także gniazda USB oraz 230V do ładowania urządzeń elektronicznych. Dla bezpieczeństwa pasażerów, składy wyposażono w monitoring oraz tzw. interkom, umożliwiający nawiązanie połączenia głosowego z maszynistą. Komfort podróży zapewniają również wygodne fotele z rozkładanymi stolikami, klimatyzacja oraz przestronna toaleta z przewijakiem dla niemowląt. Składy dostosowane są do potrzeb osób o ograniczonej możliwości poruszania się, a także wyodrębniono w nich miejsca dla rowerów, wózków dziecięcych i inwalidzkich. Wartość całego projektu to ponad 43 miliony złotych, w

tym dofinansowanie unijne prawie 36 milionów.

W trakcie prezentacji nowych składów podpisano także umowę na współpracę między samorządem województwa i POLREGIO na zakup kolejnych pociągów oraz przewozy regionalne na kwotę około miliarda złotych.

- Nie tylko obecny zakup dwóch składów, ale i kilka wcześniejszych inwestycji pozwalają Gorzowowi, jak i północnej części województwa powrócić na kolejową mapę - mówi prezes POLREGIO **Artur Martyniuk**. - Podpisana zaś nowa umowa z zarządem województwa oferuje kolejne nowe połączenia. Najważniejsze dla Gorzowa jest to, że miasto ponownie znalazło się na szlaku od Berlina w kierunku Poznania i trójmiasta. Jest to ważne dla tu-tejszych pasażerów oraz znaczenia województwa - podkreślił.

RB

Proszę zwrócić uwagę na dziewczynę w kapeluszu

Trzy pytania do prof. Radosława Barka, projektanta i wykonawcy muralu 3D u zbiegu ulic Walczaka i Jagiełły

- Jak długo trwało opracowywanie projektu i prace malarskie przy tym muralu?

- Pierwsze pomysły na formę kompozycyjną pojawiły się rok temu. Samo opracowanie projektu, który jest mojego autorstwa trwało dosyć długo, ale to jest naturalne w takich sytuacjach. Zawsze urbanistycznie leży mi na sercu, żeby przestrzeń, która powinna być wypełniona, mogła być również przestrzenią wizualnie ciekawą. Teraz zapewne wielu kierowców, którzy wjeżdżają na rondo będzie zaskoczonych widząc przykładowo w otwartych oknach ludzkie postacie. Jak będzie pełnia zimy, to będą zastanawiać się, jak ciepłe muszą to być mieszkania, skoro lokatorzy pozwolili sobie na otwarcie okien. Oczywiście mówię to trochę żartem. Natomiast samo wykonanie pracy trwało dwa tygodnie, a zajmowała się tym grupa Mural, z którą współpracuję



R. Barka: Żadnego pozowania ze strony jakichkolwiek osób nie było

od kilku lat. Ja też niektóre elementy osobiście podmalowywałem. W sumie nad całością pracowało sześć osób. Posługiwaliśmy się przy tym sprawdzonymi, z których korzystamy od wielu lat. Najważniejsze, żeby były odporne na warunki atmosferyczne. Nie potrafię natomiast powiedzieć, ile w sumie zużyliśmy litrów, ale placyk, na których one stały był nimi wypełniony w całości.

- Dlaczego zdecydował się pan na wybór akurat takich obiektów, jak Brama Santocka, Katedra, Spichlerz czy Schody Donikąd, a nie pokazał innych gorzowskich perełek?

- Mówimy oczywiście o środkowym fragmencie muralu i powiem szczerze, że miałem kilka podejść do tego, co ostatecznie tam wyeksponować, zwłaszcza że bardzo zależało mi na zharmonizowanej formie. Wokół

nas mamy obiekty nowoczesne, dla niektórych może nawet i piękne, ale nie pasowałyby do tego obrazu. Zastanawiałem się nad umieszczeniem elementów zielonych, z których miasto słynie i w pierwszym momencie ta tematyka najbardziej mnie zainspirowała. Sama jednak sytuacja z pożarem Katedry, o której mówiła cała Polska, w połączeniu, że jest to również symbol miasta wpłynęła ostatecznie na taki a nie inny wybór. Skoro znalazła się Katedra chciałem też dać coś charakterystycznego znajdującego się w okolicy, stąd wybór Spichlerza czy słynnych Schodów Donikąd, znajdujących się za interesującą nas kamienicą. Kiedy z kolei dowiedziałem się o odkopaniu Bramy Santockiej również postanowiłem pokazać symboliczny element bramy miasta otwierającej się na światło i ciepło.

- Wybór malowanych postaci był przypadkowy,

uczestniczyły one w jakkolwiek sposób w pracach malarskich?

- Nie, żadnego pozowania ze strony jakichkolwiek osób nie było. Opierałem się na chwilowych sytuacjach. Wystarczyło, że przeszła jakaś osoba i kodowałem sobie jej postać, po czym przenosiłem na ścianę. Przejrzałem też sporo zdjęć związanych z Gorzowem i zachowałem pewne skojarzenia. Mural jest adresowany do ludzi, dlatego zależało mi, żeby namalowane postacie oddawały codzienne życie mieszkańców. Uczyniłem to poprzez życie kilku osób w jednej kamienicy, ale nie tylko, bo są też postacie w innych miejscach. Proszę też zwrócić uwagę na dziewczynę w kapeluszu, znajdującą się na samym dole. Jest ona świadomie namalowana w tym miejscu w skali 1:1. Chodziło mi o to, żeby sprowokować oglądających do zrobienia sobie z nią... pamiątkowego zdjęcia.

RB

Stale musimy mieć się na baczności

Trzy pytania do Łukasza Marcinkiewicza, prezesa spółki miejskiej Inneko

- Jaki dla spółki był 2020 rok?

- Jak dla wielu podmiotów gospodarczych, dla wielu innych miejskich spółek, ale i jak dla każdego z nas miniony 2020 rok był wyjątkowy i trudny. I od razu życzę sobie i wszystkim, żeby ten rozpoczęty kolejny rok taki nie był, żebyśmy powrócili do codziennej normalności. Największe problemy, jakie dotykały nas na przestrzeni ostatnich dwunastu miesięcy dotyczyły głównie zabezpieczenia pracowników. Mieliśmy wiele trosk, żeby zakład pracował bez zakłóceń, żeby odpady były odbierane na bieżąco i przez to nie zalegały w miejscach ich zbierania przez mieszkańców. Zresztą nadal najpoważniejszym utrudnieniem jest wiszące nad nami ryzyko absencji zespołów wywozowych ze względu na możliwość zarażenia wirusem. Na szczęście 2020 rok zdołaliśmy przejść bez większych zakłóceń w tym obszarze, ale stale musimy mieć się na baczności.

- Jakie najważniejsze zadania w ramach działalno-



Ł. Marcinkiewicz: Cieszę się, że te nasze drobne działania są zauważane

ści Inneko udało się zrealizować w minionym roku?

- Zdecydowanie głównym celem dla nas było wygranie

przetargu na obsługę Gorzowa i gmin ościennych na odbiór i zagospodarowanie odpadów komunalnych. To był bardzo duży przetarg prowadzony przez MG-6, gdzie wartość całego kontraktu opiewa na ok. 70 milionów złotych. Przypomnę, że wygraliśmy przetarg na wszystkich trzech gorzowskich sektorach, co z jednej strony jest naszym największym ubiegłorocznym sukcesem, a z drugiej niesie za sobą dużą odpowiedzialność, której staramy się sprostać. Ponadto we wszystkich mniejszych naszych spółkach krok po kroku ulepszamy usługi, zwiększamy zakres oferty. Takim dobrym przykładem są zmiany na cmentarzu. Wyszliśmy z kilkoma propozycjami wobec mieszkańców, podstawiliśmy im sprzęt ogrodniczy, żeby nie musieli nosić go z domów. Ponadto wyremontowaliśmy kaplicę miejską, wprowadziliśmy selektywną zbiórkę odpadów, aby umożliwić jednolite zasady postępowania z odpadami także w tym miejscu. Cieszę się, że te nasze drobne działania są za-

ważane i pozytywnie komentowane. Natomiast nie wszystko co zaplanowaliśmy udało się zrealizować, przy czym nie mówiłbym tutaj o porażkach. Bardziej o spowolnieniu realizowaniu niektórych projektów, a wynika to z ograniczeń w kontaktach bezpośrednich z pracownikami czy z kontrahentami zewnętrznymi.

- A jakie cele wyznaczyła sobie spółka na 2021 rok?

- Tak naprawdę ten nowy rok stanowi dla nas wszystkich pewną zagadkę, bo cały czas nie możemy być pewni, kiedy nastąpi powrót do normalności. Jak wspominałem, wszyscy sobie tego życzymy, ale póki co dalej musimy działać w stanie maksymalnych obostrzeń epidemiologicznych. Jednego możemy być pewni, że wytężonej pracy w spółce nie zabraknie. Choćby przy samym odbiorze odpadów. Muszę tutaj zwrócić uwagę, że nasi mieszkańcy corocznie produkują ich więcej, a za tym idą coraz większe wyzwania, które stoją przed nami.

RB

KALENDARIUM Styczeń 2021

● 22.01. 1986 r. - zm. ks. bp Wilhelm Pluta (76 l.), od 1958 r. administrator apostolski, a od 1972 r. ordynariusz diecezji gorzowskiej; zginął w wypadku samochodowym.

● 23.01. 1987 r. - zm. Bekir Rodkiewicz (98 l.), imam, przywódca duchowy islamskiej ludności tatarskiej w Gorzowie.

● 26.01. 1951 r. - ks. inf. Edmund Nowicki, pierwszy administrator apostolski w Gorzowie, został usunięty z urzędu przez władze komunistyczne.

1925 r. - ur. dr n. med. Wiesław Greczner, b. żołnierz AK, specjalista ortopedii i traumatologii, twórca gorzowskiej ortopedii, zm. w 2005 r.

● 27.01. 1937 r. - uruchomiono po raz pierwszy komunikację autobusową w mieście; na miasto wyruszyły trzy pojazdy marki „Mercedes” i dwa „Magirus”, obsługując dwie linie mające początek na Starym Rynku, pierwsza wiodła do koszar piechoty przy ul. Myśliborskiej, druga do szpitala psychiatrycznego.

1986 r. - z udziałem prymasa Józefa Glempa odbył się pogrzeb bp. Wilhelma Pluty; jego ciało złożone zostało w grobowcu wymurowanym w przedsionku katedry.

1997 r. - zm. Irena Byrska (96 l.), aktorka, reżyser teatralny i pedagog, b. dyrektor Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie (1963-1966).

● 29.01. 1971 r. doszło do zamachu bombowego na budynek Sądu Powiatowego przy ul. Mieszka I 42, eksplozja zdemolowała pięć pomieszczeń na wysokim parterze.

● 30.01. 1945 r. oddziały sowieckie zajęły Gorzów miasto zajęte zostało przez pododdziały 32 korpusu piechoty 5 Armii Uderzeniowej, jego dowódcą był gen. płk. Nikołaj Erastowicz Bierzarin (1904-45), później pierwszy komendant wojenny Berlina.

1995 r. w Gorzowie po raz pierwszy obchodzone Dzień Pamięci i Pojednania.

2001 r. w hallu Łaźni Miejskiej ponownie odsłonięto popiersie Maxa Bahra, zrekonstruowane przez Jerzego Sobocińskiego z Poznania; w uroczystości uczestniczył Jürgen Bahr, prawnik fundatora Łaźni.

● 31.01. 1948 r. - Państwowe Zakłady Inżynierii nr 3 przejęły obiekt byłej fabryki maszyn i odlewni żeliwa H. Pauckscha między ul. Jerzego i Grobla oraz byłej fabryki Gustava Schrödera przy ul. Przemysłowej 13-16, gdzie znajdowała się główna siedziba późniejszych Zakładów Mechanicznych.

RB

Nowe kilometry kanalizacji sanitarnej

Zakończyła się budowa kanalizacji sanitarnej i dwóch przepompowni sieciowych w rejonie ulicy Szczecińskiej.

W ramach prac uporządkowano również sieć wodociągową o łącznej długości 2,3 km. Inwestycja została zrealizowana w ramach Projektu pn. „Budowa sieci wodociągowej i kanalizacji sanitarnej w Gorzowie Wlkp.” współfinansowanego ze środków unijnych, w ramach działania 2.3 „Gospodarka wodno-ściekowa w aglomeracjach” II oś priorytetowa „Ochrona środowiska, w tym adaptacja do zmian klimatu” Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020.

- W październiku uzyskaliśmy wszelkie pozwolenia na możliwość jej użytkowania - mówi **Tomasz Czornak**, kierownik Działu Inwestycji i Rozwoju w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. - Najważniejszym elementem ponad rocznych prac było położenie sieci kanalizacyjnej na odcinku prawie 8,5 kilometra, aż do granicy miasta w kierunku Baczyny. Dzięki temu mieszkańcy takich ulic jak Szczecińska, Moryńska, Stargardzka, Lipiańska, Nowogardzka, Wolińska, Pełczycka, Cedyńska,



W ramach prac uporządkowano sieć wodociągową o łącznej długości 2,3 km

Koszalińska, Policka, Gryfińska, Kołobrzaska, Chojewska, Goleniowska, Pyrzycka czy Metalowców mogą już podłączyć się do miejskiej kanalizacji. Jeżeli chodzi o sieć wodociągową, to ona tam już się znajdowała, ale trzeba było ją uporządkować, bo nie wszędzie był do niej dostęp, poza tym niektóre jej fragmenty przechodziły przez tereny prywatne - tłumaczy.

W sumie na podłączeniu do kanalizacji sanitarnej skorzysta 80 gospodarstw, w tym również budynki usługowe działające w strefie przemysłowej, które dotychczas nie miały takiej możliwości. Ponadto kanalizacja ta umożliwi podłączenie nieruchomości położonych w Baczynie, gdzie obecnie lokalny deweloper rozpoczął budowę domów. Planowany efekt ekologiczny do osiągnięcia w ramach tego projektu

do końca 2021 roku, to wzrost liczby użytkowników korzystających z podłączenia do sieci kanalizacyjnej o 240 osób.

Zadawoleni powinni być jednak wszyscy, gdyż za tą inwestycją pójdzie poprawa jakości życia. Koszt realizacji całego zadania wyniósł około 12 milionów złotych brutto.

W tej chwili rozpoczęła się procedura przyłączania poszczególnych nieruchomości do sieci kanalizacji sanitarnej. Po stronie właścicieli nieruchomości jest wykonanie przyłącza w granicach własnej działki na podstawie projektu przygotowanego przez PWiK i przekazanego mieszkańcom bezpłatnie.

- Gdyby nie obostrzenia związane z pandemią, zapewne byśmy już zorganizowali z mieszkańcami jedno lub dwa spotkania na temat przyłączy - kontynuuje kierownik Tomasz Czornak. - Nie mogąc jednak się spotkać na razie z mieszkańcami wybraliśmy drogę korespondencji. Każdy budynek ma zaprojektowane przez nas przyłącze i projekt takiego przyłącza został już lub zo-

stanie nieodpłatnie dostarczony do wszystkich gospodarstw. Ponadto dostarczamy ulotki informacyjne i tam są wyszczególnione wszystkie działania, jakie należy podjąć, żeby się podłączyć. Oczywiście w razie pytań każdy może się z nami dodatkowo skontaktować i udzielimy dodatkowych wyjaśnień - podkreśla i jednocześnie przypomina o obowiązku podłączenia się do sieci tych gospodarstw, które posiadają zbiorniki bezodpływowe (szamba). Sprawdzenie wykonania podłączenia będzie przedmiotem kontroli prowadzonych razem ze Związkiem Celowym Gmin MG-6.

- Będziemy oczywiście zachęcać ludzi do jak najszybszego skorzystania z możliwości włączenia się do sieci, bo niesie to również dla nich korzyści choćby środowiskowe oraz obniżenie wydatków w stosunku do obecnego wywozu nieczystości. W wielu przypadkach wykonanie takiego przyłącza jest sprawą prostą i większość właścicieli nieruchomości robi to samodzielnie - kończy.

RB



Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki
w Gorzowie Wielkopolskim Sp. z o.o.
przypomina

Koronawirus jest śmiertelny! Zachowuj się bezpiecznie

- ➔ Myj ręce
- ➔ Zakrywaj usta
- ➔ Nie dotykaj twarzy
- ➔ Zachowuj odstęp od innych
- ➔ Dezynfekuj telefon

To był trudny rok przy zamianach mieszkania

Pandemia i przeprowadzka, sprawiły, że Biuro Zamiany Mieszkań może mówić o trudnym roku.

- Mimo tych wszystkich ograniczeń, tych trudnych rzeczy, cały czas prowadziemy zamiany, jesteśmy w kontakcie z naszymi klientami - mówi Marcin Smela, kierownik Biura Zamiany Mieszkań Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej w Gorzowie.

Na stałe w Biurze Zamiany Mieszkań jest około 300 ofert. Liczba jest płynna, bo gorzowianie i nie tylko cały czas proszą o pomoc w zmianie lokalu. - W tym roku udało nam się sfinalizować kilkanaście zamian, ale proszę pamiętać, że to był rok szczególny. Najpierw kompletny lockdown, potem zamiana adresu, przeprowadzka do nowego lokalu, w centrum, do dyrekcji ZGM, potem znów jesienią ograniczenie działania, bo znów pandemia. Dlatego



Skończyły się już mity o złych i dobrych adresach

uważam, że i tak wynik jest niezły - mówi Marcin Smela.

Od pewnego czasu niezmiennie dużą popularnością cieszą się nieduże mieszkania - do dwóch pokoi, w czteropiętrowych blokach z wszystkimi mediami, ciepłą wodą, jeszcze lepiej z windą. - Najlepiej

byłoby jeszcze, gdyby było blisko do kościoła, do dużego sklepu i na uboczu - mówi Marcin Smela.

Okazuje się, że gorzowianie najchętniej szukają mieszkań w osiedlach, jak Piaski, Zawarcie czy nawet osiedle Słoneczne. - Skończyły się już mity o złych i

dobrych adresach. Liczy się, jak osiedle wygląda, jak skomunikowane z centrum, jakie jest sąsiedztwo. Dlatego też popularna jest ul. Wawrzyniaka czy Fabryczna - mówi Marcin Smela.

Obecnie też Biuro cały czas przyjmuje oferty zamiany, ale praca wygląda inaczej - Prosimy zainteresowanych, aby przysyłali nam swoje własne zdjęcia swoich domów. Potem, jak sytuacja się zmieni, to oczywiście sami zrobimy dokumentację. A jeśli chodzi o kontakt bezpośredni, to staramy się mocno ograniczać.

Jeśli już dochodzi do kontaktów bezpośrednich, bo na przykład ktoś sobie nie radzi z Internetem, to sporadycznie wychodzimy - mówi Marcin Smela.

I tłumaczy, że w takich przypadkach pracownicy

biura dotrzymują szczególnych zaleceń związanych z pandemią Covid 19. Wówczas to pracownicy idą z maseczkami, noszą rękawice jednorazowe, dezynfekują pomieszczenia. Proszą także, aby w mieszkaniu, do którego idą, nie było zbyt wielu osób, najlepiej aby to był tylko jeden właściciel.

- Oczywiście, to nie będzie normą, jak sytuacja wróci do stanu sprzed pandemii, znów wrócimy do naszych stałych standardów - zapowiada Marcin Smela.

Mimo ekstremalnych warunków Biuro świadczy pomoc w zamianie mieszkań zarówno komunalnych, jak i własnościowych ora także poza terenem miasta, ponieważ przepisy na to pozwalają.

ROCH

Program Kawka przynosi dobre efekty

Ubiegłoroczne podsumowanie programu Kawka w Gorzowie - czystsze powietrze i większa świadomość mieszkańców jak gospodarować ciepłem.

Program Kawka, którego celem jest poprawa jakości powietrza przynosi dobre efekty. W trakcie jego realizacji zlikwidowano w Gorzowie 2927 starych pieców, utworzono 230 nowych węzłów cieplnych, 236 budynków podłączono do sieci ciepłowniczej. To przyczyniło się do znacznego ograniczenia pyłów w powietrzu oraz do trwałej poprawy środowiska naturalnego i zdrowia mieszkańców.

Wprowadzone przez miasto oraz za wolą wspólnot mieszkaniowych rozwiązanie, zapewniło mieszkańcom bezpieczeństwo i komfort korzystania z ogrzewania i ciepłej wody przez cały rok. Znacznie zmniejszyło się też zagrożenie zatruciami i wybuchami, obniżyły się opłaty, wynikające z przeglądów technicznych. Zmiana systemu ogrzewania jest też gwarancją niższych cen.

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej dokonał rozliczenia pobranych zaliczek i poniesionych kosztów energii cieplnej za sezon grzewczy 2019/2020 w budynkach włączonych do ciepła systemowego w ra-



Zmiana systemu ogrzewania jest też gwarancją niższych cen

mach programu „Kawka”. Te rozliczenia są zbliżone do poprzedniego okresu grzewczego. Dostrzegalna jest coraz większa świadomość mieszkańców i ich racjonalne zarządzanie ciepłem, dostosowane do indywidualnych potrzeb.

Po zakończeniu każdego etapu inwestycji podłączania budynków do sieci ciepłowniczej, w porozumieniu z współwłaścicielami nieruchomości systematycznie podejmowane są decyzje o przeprowadzeniu remontów budynków w zakresie termomodernizacji. Łącznie wyremontowano 28 kamienic. Wykonane

prace znacząco ograniczają ewentualne straty ciepła i umożliwiają ZGM wystąpienie o zmniejszenie mocy zamówionej przewidzianej dla budynku. Wszystkie działania powodują obniżenie kosztów ogrzewania mieszkania.

Blisko 800 rodzin otrzyma zwrot wpłaconych zaliczek. Średnia kwota nadpłaty na rodzinę wyniesie 510,00 zł. O wysokość nadpłaty, każdy z użytkowników będzie mógł pomniejszyć wymagane opłaty czynszowe za najbliższy miesiąc kalendarzowy. Pomimo podejmowanego wysiłku w przypadku 700 gospo-

darstw domowych zużycie ciepła w lokalach było wyższe od prognozowanych zaliczek. Średnia kwota niedopłaty wyniosła 580,00 zł.

Na wyższy rachunek wpływ miał ponadnormatywny pobór ciepła wynikający z indywidualnych potrzeb związanych z wielkością lokalu mieszkalnego, liczbą użytkowników czy stanem technicznym lokalu i budynku.

Bardzo często niedopłaty dotyczyły osób zajmujących lokale bez tytułu prawnego, posiadających zaległości, objętych prawomocnym wyrokiem o eksmisję, często zakłócających porządek domowy. Wyższe obciążenia były również wynikiem spadku poboru ciepłej wody użytkowej przez mieszkańców, które przekładały się na wyższe koszty utrzymania układu systemu w tym odpowiedniej temperatury do podgrzewu wody.

Dlatego w mieście przyjęto nową strategię działania. Ma ona pomóc w zwiększeniu możliwości remontowych zasobów komunalnych miasta, a prze-

de wszystkim spełnienie oczekiwań oraz poprawę warunków i komfortu życia naszych mieszkańców. Ten element nowej polityki mieszkaniowej miasta powinien spowodować, że regulacja stawki czynszu już w przyszłym roku pozwoli na przeprowadzenie pierwszych remontów budynków. Zniesienie zaś obowiązującego stanu epidemii uruchomi na nowo realizację wyroków eksmisyjnych.

Mając na względzie niekorzystne rozliczenia i powstałe niedopłaty, miasto nie zapomniało o gospodarstwach domowych o najniższych dochodach, w tym seniorach, emerytach, rencistach czy rodzinach wielodzietnych. Podobnie jak w poprzednim ubiegłym miasto wystąpiło do PGE Energia Ciepła Oddział Elektrociepłownia w Gorzowie Wielkopolskim o wsparcie finansowe dla najbardziej potrzebujących w ramach programu „Dzielmy się ciepłem”.

Dofinansowanie dla rodzin w najtrudniejszej sytuacji zaplanowane było na grudzień 2020r.

PAWEŁ NOWACKI



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Wełniany Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. 95 7387 101,
95 7387 102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności.
Więcej na
zgm.gorzow.pl/
odpracujdlug
tel. 95 7387 101 wew.4
odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Zamiana Mieszkań
ul. Wełniany Rynek 3
tel. 95 7387 129
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/
zamiannamieszkania

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. 95 7387 242
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. 95 7387 150
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. 95 7387 173
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. 95 7387 194
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
tel. 95 7387 203
adm5@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm5



Interdyscyplinarność na Wydziale Technicznym AJP

Coraz częściej w nauce kładzie się nacisk na interdyscyplinarność badań.

Prace badawcze, nowe wynalazki powstają na styku różnych dziedzin naukowych. Interdyscyplinarność to połączenie różnych nauk w celu rozwiązania konkretnego problemu badawczego. Podejście to opiera się więc w dużej mierze na zespole badawczym. Nie jest to oczywiście warunek konieczny, jednak w znacznym stopniu sama istota interdyscyplinarności wymusza to na badaczach-naukowcach. W naukach technicznych interdyscyplinarność jest już koniecznością. Nie można przecież zrozumieć wielu problemów, nie mówiąc już o nowych odkryciach, bez połączenia wielu różnych dyscyplin naukowych.

Wydział Techniczny Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim to miejsce skupiające w swoich murach naukowców z różnych dziedzin, zajmujących się różną tematyką, ale mających ten sam cel, którego istotnym elementem jest praca zespołowa, doświadczenie oraz wiedza wszystkich. Naukowcy Wydziału Technicznego to ludzie nie tylko z ogromną wiedzą merytoryczną, ale również z ogromnym bagażem doświadczenia, praktyki. Połączenie tych wszystkich elementów ma ogromne znaczenie w tworzeniu nowej nauki, a której rezultaty widoczne są wśród wielu tematów prac badawczych naszych pracowników.

Na Wydziale Technicznym funkcjonuje pięć katedr:

- Katedra Energetyki,
- Katedra Inteligentnych Systemów Wspomagania Decyzji,
- Katedra Inżynierii Wytwarzania,
- Katedra Technik Informatycznych,
- Katedra Mechaniki i Budowy Maszyn.

Głównymi obszarami badań zespołu pracowników:

Katedry Energetyki są:

- procesy utleniania i izomerizacji związków pochodzenia naturalnego, tzn. otrzymywanych z materiałów roślinnych, które stanowią odnawialną biomasę. W syntezach wykorzystywane są materiały zeolitowe i zeolito-pochodne, które można otrzymać syntetycznie lub wykorzystać zeolity naturalne, dostępne handlowo i tanie. Ponadto prowadzone są prace związane z optymalizacją parametrów procesu, tj. temperatura, ilość katalizatora, czas reakcji, które niewątpliwie wpływają na wydajności otrzymywanych produktów,

- badania numeryczne i doświadczalne struktury przepływu w pompach, turbinach parowych i sprężarkach. Pomiary parametrów przepływowo-energetycznych turbin parowych, pomp i sprężarek. Modernizacje, problematyka eksploatacji, ustalanie przyczyn awarii turbin parowych, pomp i sprężarek.

Katedry Inteligentnych Systemów Wspomagania Decyzji są:

- integracja źródeł wiedzy - danych empirycznych, opinii i kompetencji eksperckich, komplementarnych metod - w informatycznym systemie wspomagania decyzji,
- inżynieria baz wiedzy i systemów zarządzania wiedzą, oparta przede wszystkim na ontologii oraz zastosowaniu dyskretnych metod wielokriterialnej analizy decyzyjnej,
- budowa pulpitów decyzyjnych (menadżerskich) wykorzystująca techniki grafiki kognitywnej (rodzaj grafiki maszynowej konsolidującej wizualizację graficzną z procesami kognitywnymi zachodzącymi w umyśle człowieka w momencie podejmowania decyzji),



Fot. Archiwum

- zastosowanie metod sztucznej inteligencji, a w szczególności metaheurystycznych metod optymalizacji oraz inteligentnych metod analizy danych, do rozwiązywania problemów behawioralnych i technicznych.

Katedry Inżynierii Wytwarzania jest badanie środków i procesów produkcji oraz ich optymalizacja. W tym kontekście aktualna tematyka badawcza koncentruje się na:

- procesach odlewniczych stopów metali,
- konstrukcji układów wlewowych,
- zarządzaniu jakością produkcji,
- inżynierii materiałowej,
- inżynierii produkcji.

Katedry Technik Informatycznych są:

- wbudowane systemy rozproszone,
- cyfrowe przetwarzanie obrazów i sygnałów,
- metody modelujące obraz jako dwu- lub więcej-wymiarowy, widzenie komputerowe zorientowane na analizę scen i obiektów 3D,
- przetwarzanie sygnałów i ich analiza odbywająca się w

czasie ciągłym lub na dyskretnych próbkach tych sygnałów,

- zastosowanie technik genetycznych w rozwiązaniu problemu optymalizacji operacji zadań w bazie danych oraz jakości składowanych w niej danych multimedialnych,
- wykorzystanie techniki modułowego projektowania algorytmu sterowania w modelowaniu systemów do badań przepływu ruchu drogowego.

Głównym obszarem badań zespołu pracowników **Katedry Mechaniki i Konstrukcji Maszyn** jest łączenie znajomości technologii, organizacji produkcji, nowoczesnych metod i technik wytwarzania z wykorzystaniem wspomagania komputerowego, niezbędnego do sterowania procesami w celu poprawy ich efektywności. W tym kontekście aktualna tematyka badawcza koncentruje się na następujących obszarach:

- innowacje konstrukcyjne i technologiczne,
- systemy nadzorowania procesów produkcyjnych,
- nowatorskie technologie wytwarzania,
- budowa systemów wspomagania decyzji w przemyśle,

- nowe metody i narzędzia do precyzyjnej obróbki,
- metodyka kompleksowej oceny cech stereometrycznych powierzchni,
- automatyzacja procesów projektowania elementów i zespołów maszyn,
- projektowanie specjalnych, bezluzowych przekładni i napędów,
- analiza realizacji przedsięwzięć wysokiego ryzyka i postępowania w sytuacjach kryzysowych,
- modelowanie złożonych procesów decyzyjnych w środowisku matlab.

Ponadto na Wydziale znajdują się świetnie wyposażone laboratoria, które w znacznym stopniu umożliwiają naukowcom realizację swoich prac badawczych tj. Laboratorium Systemów Produkcyjnych, Diagnostyki Maszyn i Urządzeń, Automatyki i Robotyki, Technik CNC, Mechaniki i Wytrzymałości Materiałów, Podstaw Konstrukcji Maszyn, Termodynamiki i Mechaniki Płynów, Inżynierii Materiałowej, Inżynierii Jakości, Modelowania i Nadzorowania Procesów, Podstaw Elektroniki i Elektrotechniki, Technik 3D, Mechatroniki, Fizyko-Chemiczne, oraz Odnawialnych Źródeł Energii. Oprócz prac naukowych realizowanych na Wydziale pracownicy intensywnie współpracują oraz uczestniczą we wspólnych projektach z wieloma firmami zarówno rynku lokalnego, jak i krajowego.

Oprócz tego warto wspomnieć o najnowszej inwestycji realizowanej na AJP, a mianowicie budowa „Laboratorium Technologicznego”, którego celem jest wzrost działań naukowo-badawczych realizowanych w powiązaniu z lokalną gospodarką i biznesem. Kluczowe obszary, które rozwijane będą

w laboratorium to: inżynieria wytwarzania, automatyzacja produkcji, diagnostyka materiałowa, modelowanie i symulacji procesów przemysłowych. Zadania postawione przed „Laboratorium Technologicznym” wynikają z analiz prowadzonych wspólnie przez Wydział Techniczny, Lubuski Klaster Metalowy, Kostrzyńsko-Słubicką Specjalną Strefę Ekonomiczną, Zachodnią Izbę Przemysłowo-Handlową, Lubuską Organizację Pracodawców, Miasto Gorzów oraz wiele innych podmiotów otoczenia społeczno-gospodarczego. W ramach działalności laboratorium założono połączenie znajomości technologii, organizacji produkcji, nowoczesnych metod i technik wytwarzania z wykorzystaniem wspomagania komputerowego, niezbędnego do sterowania procesami w celu poprawy ich efektywności. W tym kontekście obszary skupione w laboratorium koncentrują się na innowacyjnych konstrukcjach i technologiach, systemach nadzorowania procesów produkcyjnych, nowatorskich technologiach wytwarzania, budowie systemów wspomagania decyzji w przemyśle, nowych metodach i narzędziach do precyzyjnej obróbki, automatyzacji procesów projektowania elementów i zespołów maszyn, jak również mikroinżynierii, ze szczególnym uwzględnieniem nanotechnologii. Kluczowe działania badawczo-rozwojowe zaplanowano także w obszarach inżynierii i badania środków i procesów produkcji oraz ich optymalizacji, procesach odlewniczych stopów metali, konstrukcji układów wlewowych, zarządzania jakością produkcji.

DR INŻ. ANNA FAJDEK-BIEDA
Prodziekan Wydziału Technicznego



Akademia im. Jakuba z Paradyża

Studiuj z nami - bo warto!

tel.: 95 721 60 22

www.ajp.edu.pl

e-mail: rektor@ajp.edu.pl

Miniony rok był bardzo dobrym okresem

Kostrzyńsko-Słubicka Specjalna Strefa Ekonomiczna wzorem lat ubiegłych starała się realizować swoje zadania.

Głównym zadaniem naszej spółki od ponad 20 lat jest poszukiwanie inwestorów, którzy zechcą zrealizować swoje projekty inwestycyjne w naszym regionie. Od 2018 roku oficjalnie administrujemy terenami inwestycyjnymi w 35 powiatach i 5 miastach o statusie powiatu Północno-Zachodniej Polski. W skład naszego obszaru wchodzi 238 gmin a łączny areal zarządzanego terenu przekracza 4 mln ha. Robi wrażenie i stanowi całkiem spore wyzwanie dla 16-sto osobowego zespołu. Pierwsze lata po każdej reformie są zawsze trudne. Wprowadzone zmiany i utworzenie Polskiej Strefy Inwestycji, przełożyło się na to, że nie ma już wyodrębnionych terenów, na których można było otrzymać prawo do zwolnień podatkowych. Dzisiaj cała Polska jest specjalną strefą ekonomiczną, a ulgi otrzymać może każdy inwestor, który spełni stosowne kryteria ilościowe i jakościowe.

Należy zacząć od tego, że miniony rok był bardzo dobrym okresem, jeżeli chodzi o prace spółki



Dzisiaj cała Polska jest specjalną strefą ekonomiczną, a ulgi otrzymać może każdy inwestor, który spełni stosowne kryteria ilościowe i jakościowe

zarządzającej strefą. W roku 2020 spółka wydała łącznie 19 decyzji o wsparciu, w której przedsiębiorcy zadeklarowali inwestycje na poziomie przewyższającym 1,1 miliarda złotych. To naprawdę bardzo dobry wynik biorąc pod uwagę okoliczności minionego roku, ale co najważniejsze przedsiębiorcy zobowiązali się do stworzenia co najmniej 376 nowych miejsc pracy oraz co bardzo ważne utrzymania dotychczas istniejących na pozo-

mie ponad 7000 etatów. Cieszy także, że Polska Strefa Inwestycji spowodowała bardzo duży wzrost inwestycji firm z sektora MŚP, które stanowią zdecydowaną większość w wydanych przez Kostrzyńsko-Słubicką Specjalną Strefę Ekonomiczną S.A decyzji o wsparciu. Z roku na rok odnotowujemy coraz większy udział polskich firm w programie Polskiej Strefy Inwestycji, który w tym roku wyniósł ponad 40% wszystkich wyda-

nych decyzji. Po zmianach przepisów pod koniec 2018 wsparcie od strefy można uzyskać na każdym wskazanym przez przedsiębiorcę obszarze. Pomogło to zdecydowanie firmom, które zwiększały swoje moce produkcyjne i po spełnieniu określonych warunków mogły uzyskać wsparcie w postaci zwolnienia z podatku dochodowego.

W wydanych w roku 2020 decyzjach dominowały przede wszystkim takie branże

jak: metalowa (3 projekty), budowlana (3 projekty) i po 2 projekty w chemicznej, motoryzacyjnej i magazynowej.

Obecnie spółka prowadzi wiele rozmów z przedsiębiorcami zainteresowanymi wsparciem w ramach Polskiej Strefy Inwestycji. Do końca 2020 roku miały być wydane jeszcze co najmniej 2 decyzje o wsparciu, a w pierwszym kwartale roku 2021 około 4 decyzji. Mowa tylko o obecnie prowadzonych projektach. Prawdopodobnie w międzyczasie pojawią się także nowe wnioski, które do nas wpłyną między innymi dzięki naszej polityce informacyjnej. Jesteśmy w stałym kontakcie z samorządami lokalnymi oraz zrzeszeniami i izbami, których członkami są przedsiębiorcy. Przez sporą część roku pracownicy strefy spotykali się z inwestorami w bezpośredni sposób. Najlepszym sposobem na przedstawienie dobrej oferty inwestycyjnej jest bezpośrednie spotkanie, uścisk dłoni i szczerą rozmowę. Tak robimy zawsze, gdy warunki nie są ograniczone przez zagrożenie zdrowia i

życia naszego i naszych partnerów biznesowych. Oczywiście ten rodzaj działalności sprawdza się w stu procentach przy organizacji konferencji, seminariów i innych spotkań o charakterze gospodarczym, na których nie tylko rozmawia się o biznesie, ale tworzy się długo trwające więzi biznesowe, które stanowią podwalinę pod każdy dobry biznes. Rok 2020 zmusił nas i naszych inwestorów do przejścia do sieci. Seminaria zmieniły się na webinaria, konferencje na spotkania online, wywiady na czaty itd., itp. Poza przyciąganiem i zachęcaniem przedsiębiorców do występowania do strefy o uzyskanie wsparcia, strefa pomagała firmom podczas pandemii poprzez organizację licznych webinarów oraz szkoleń dla swoich przedsiębiorców wraz z towarzyszącymi doradztwami w Polsce. Cieszyły się one znacznym zainteresowaniem ze strony firm działających w ramach Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej.

KSSSE

r e k l a m a

*Wszystkim naszym przyjaciółom, klientom i współpracownikom
zdrowego i szczęśliwego Nowego Roku
oraz powodzenia w życiu osobistym i zawodowym życzą*

Zarząd i Pracownicy Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej.



Polska
Strefa Inwestycji



Kostrzyńsko-Słubicka
Specjalna Strefa Ekonomiczna



Invest
in the West

Papusza, cygańska poetka z wielką tajemnicą

„Nie bardzo wiem, co to jest poezja. Co to jest bycie poetką. To duża reklama, ale mały interes”. Tak Papusza, Lalka, Bronisława Wajs z domu Zielińska mówiła o poezji.

Nigdy nie chciała brać pieniędzy za wiersze, bo jak mówiła, że Bóg jej daje te piosenki (tak nazywała swoje wiersze) i brać za nie pieniądze to jakoś nie tak.

Niby bardzo znana, opisana. Cygańska poetka, autorka zaledwie ponad 30 wierszy, ale jak spojrzeć na nią nieco szczegółowiej, okazuje się być wielką i stale nierozpoznaną tajemnicą.

Władza widziała ją jako przywódczynię

Życie poetki można podzielić na kilka wyraźnych etapów. Pierwszy to dzieciństwo i młodość spędzone w taborach Krzyżanowskich, Wajśów, Dębickich na wschodzie, na dawnych Kresach, na Lubelszczyźnie. Drugi, to okres wielkiej smuty, lat II wojny światowej, Holocaustu Cyganów, Porajmos - jak oni sami nazywają ten czas. Potem kolejny etap, to czas taborów w ludowej Polsce do 1964 roku, czyli do czasu przymusowego osiedlenia i czasy po nim, w tym te kilkadziesiąt spędzonych w Gorzowie, w odsunięciu i samotności.

W każdym z tych etapów Papusza miała odgrywać inną rolę. Nie z wyboru, a z narzucenia. Do czasów wojny było to taborowe dzieciństwo, rozpaczliwe próby nauczania się czytania i pisania, za „kurkę przyniesioną pani Polce”. Ale też i już samotność, bo Lalka, jak się na polski tłumaczy Papusza, od zawsze była dziwna, inna, niż romskie dzieci.

Potem przydarzyło jej się małżeństwo, albo i dwa, bo i takie są tropy. To wówczas przyszła poetka, która została niejako wydana za mąż za dużo od niej starszego harfistę Dionizego Dyśku Wajsa odkryła, że męża raczej nie kocha. Ale dużo straszniejszym dla niej odkryciem było i to, że nie może mieć dzieci. Przysposobiła sobie wówczas dziecko, syna Władysława, Tarzania, jak do niego i o nim mówiła. I jak czas pokazał, Tarzaniu okazał się dla poetki jednak nieszcześcieniem. Bo nie spełnił pokładanych nadziei, bo zadawał się z ludźmi, którzy mieli z prawem na bakier. Bo na starość wcale się nią nie interesował, choć Papusza kochała go chyba najbardziej na świecie.

Już w czasie PRL na jej losach zaważyło spotkanie z Jerzym Ficowskim i odkrycie



Bronisława Wajs, Papusza, której Bóg dawał piosenki

przez niego jej wielkiego talentu. Zapłaciła za to wielką karę. Społeczność ją jeszcze bardziej wyizolowała. Padły słowa o chorobie psychicznej potwierdzone pobylem w szpitalu psychiatrycznym.

W 1964 r., po przymusowym osiedleniu Cyganów, poetka zdecydowała się osiąść w Żaganiu. Cieszyła się już uznaniem i sławą. A ówczesna władza ukuła na te decyzję określenie, że jest przywódczynią poprawnych postaw wśród Cyganów. - Taki jest język ówczesnych dokumentów - mówi dr Piotr J. Krzyżanowski, znany cyganolog. Ale taką rolę i takie postrzeganie w środowisku romskim Papuszy zdecydowanie neguje Edward Dębicki, blisko z poetką spokrewniony. - W świecie cygańskim żadna kobieta nie mogła być przywódczynią czy kimś takim. To zawsze mężczyzna, nawet głupszy, miał taką rolę - tłumaczy.

Kolejnym etapem w jej życiu było mieszkanie w Gorzowie, już po śmierci męża, samej, bo i ukończony Tarzaniu ją zawiódł. Żyła przy ul. Kosynierów Gdyńskich 20 właściwie sama. Czasami odwiedzali ją nieliczni, w tym Edward Dębicki. - Ona zawsze się wszystkim dzieliła. Nawet jednym cukierkiem. To była bardzo dobra kobieta, moja ciotka - mówi Edward Dębicki. Ostatnim etapem życia był okres przed śmiercią, kiedy mieszkała u siostry w Inowrocławiu. Tam umarła i tam została pochowana.

Karuzela z datami

Jeśli sięgnąć do różnych tekstów o Papuszy, to nagle okazuje się, że nie bardzo wiadomo, kiedy się urodziła, bo różni badacze, a po nich dziennikarze podają różne daty. Podobnie jest i z innymi szczegółami z życia poetki. Ale wydaje się, że przynajmniej ta tajemnica została wyjaśniona. Udało się to dr. hab. Dariuszowi A. Rymarowi, dyrektorowi Archiwum Państwowego, który przyjrzał się wnikliwym okiem historyka dokumentom, jakie się zachowały po poetce i ustalił ponad wszelką wątpliwość, że urodziła się ona 18 sierpnia 1908 roku w Sitańcu pod Zamościem. Znalazł w Archiwum Państwowym w Zamościu metrykę chrztu, w której zapisano, iż właśnie 18 sierpnia 1908 roku w parafii w Sitańcu pojawili się Józefa Popowicz, Stanisław Bobowicz oraz Karol Bogdanowicz, Cyganie, którzy okazali tamtejszemu proboszczowi noworodka płci żeńskiej. Oświadczyli, iż dziewczynka urodziła się tego dnia około 5.00 rano z matki Katarzyny Zielińskiej, lat 20, z niewidomego ojca. Dziecko zostało ochrzczone, a rodzicami chrzestnymi byli Marianna Bogdanowicz i Stanisław Bobowicz. A jako że Cyganie byli niepiśmienni, akt chrztu podpisał proboszcz, ksiądz Jan Badowski. - No i tym samym kończą się dyskusje o dacie i miejscu urodzenia - mówi dr hab. Dariusz A. Rymar. I tłumaczy, że zawirowania, ja-



Papusza ma swój pomnik w parku Róż, gdzie zażycia często można było spotkać

kie panują w źródłach, bo podaje się lata urodzin 1906, 1907, 1909, 1910 są chyba wynikiem tego, że sama poetka podawała je różnie.

Podobnie drobiazgowo podejście do dokumentów pozwoliło ustalić, iż Papusza wzięła ślub z Dyśkiem Wajsem 28.02.1923 roku w kościele w Szumsku. Na zachowanym nagraniu sama poetka opowiada, że do ślubu sianiami jechała, w sześć sań, a w kościele dywan ze świec był no i miała samych młodych świadków.

Jednak w taki scenariusz powątpiewa Edward Dębicki, który z przekazów rodzinnych wie, że nieco inaczej to wyglądało. - Dyśku zakochał się w Papuszy. A ona w moim ojcu, jednak on wolał moją mamę. Dyśku przekonał ojca, żeby wyprowadził mu Papuszę. O i tak się stało. Ojciec wyprowadził Papuszę, ten zabrał ją na wóz i pojechali. Wrócili po dwóch dniach już jako małżeństwo - opowiada.

Znana na całym świecie

- Moim zdaniem Papusza jest najbardziej znaną gorzowianką w Polsce, a może i na całym świecie, a to za sprawą tego, że ciągle wychodzą jej wiersze, powstają książki o niej - mówi Dariusz A. Rymar. Jak to z tą sławą jest, sprawdziły Grażyna Kostkiewicz-Górska i Danuta Zielińska z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta. I okazało się, iż rzeczywiście, tomiki Papuszy oraz teksty jej poświęco-

on wspominał wieczór poetycki w Poznaniu, podczas którego wiersze Papuszy recytowali poznańscy studenci uniwersytetu, a pieniądze za wieczór sprytnie ukryto w kwiatkach, bo poetka nie chciała brać pieniędzy za gila.

Papusza banknoty odkryła już w Gorzowie, kiedy kwiatki zwiedły. Była zaskoczona.

Ciotka dobrze wróżyła

- W taborze mówili, nie słuchajcie jej, to głupia Cyganka - opowiada Edward Dębicki. Kiedyś poprosił, aby go wzięła ze sobą na wróżbę. Wzięła. I co się okazało? Ano to, że Papusza miała znakomite podejście do tych, którym miała wróżyć. Znakomicie potrafiła wykorzystać drobne niuanse, ułamki informacji „sprzedawanych” przez same zainteresowane, aby wróżba wypadła pomyślnie. - Kiedyś ją zapytałem, ciotko, a skąd wy wiecie, co macie mówić. Tak dobrze mówicie... Na co ona mi odpowiedziała - Wiesz, Edziu, jak ja karty rozłożył, to się jakoś tak samo mówi... - opowiada Edward Dębicki. I przytacza historię, która się jemu samemu i jego żonie Ewie, kiedy żoną jeszcze nie była, przydarzyło. - Jeszcze nie byliśmy małżeństwem, ani nikt za bardzo nie wiedział, że coś nas łączy. Ewa z koleżanką poszły do ciotki po wróżbę. No i Ewa usłyszała, że chodzi z jakimś ciemnym, Cyganem albo Rumunem i ślub z tego będzie. A koleżance ciotka powiedziała, że ona tu w Polsce mieszkać nie będzie. I okazało się, że rzeczywiście miała rację. Ewa została moją żoną, a koleżanka mieszka za granicą - mówi. A Ewa Dębicka tylko z uśmiechem potakuje, że rzeczywiście tak było.

Edward Dębicki dodaje, że ciotka choć niezamożna, to jednak skrajnie biedna i żyjąca w brudzie nie było, jak niesprawiedliwie i krzywdząco pokazała ją małżeństwo Krauze w filmie „Papusza”. - Bo teraz to się tyle tych cyganologów i znawców naszej kultury zrobiło, że jest ich więcej, niż samych Cyganów - kwituje Edward Dębicki.

I zdradza jeszcze jedną tajemnicę. - Cygan, gdzie mieszka, tam jest jego dom. Kocha go i szanuje. Tak samo było z Gorzowem w przypadku Papuszy - tłumaczy Edward Dębicki.

RENATA OCHWAT

Życie po dwóch stronach Odry

Z dr. Maciejem Dudziakiem, antropologiem kultury, autorem „Mesjasza”, pracownikiem naukowym Akademii im. Jakuba z Paradyża, rozmawia Renata Ochwat

- Poważny naukowiec, autor prac akademickich, nagle pisze intrygujący kryminał. Skąd się wziął pomysł na „Mesjasza”, który dzieje się tuż obok nas, w Witnicy, Lubnie, Międzyrzeczu, ale jednocześnie w Drohobyczu Brunona Schultza?

- Dla mnie rzeczą oczywistą od zawsze jest to, że jestem człowiekiem nauki i podstawową kwestią poza mówieniem do studentów jest pisanie. Ponieważ jestem antropologiem kultury, zajmuję się też analizą tekstów literackich jako bardzo szczególnych artefaktów kultury. Jestem, a przynajmniej próbuję być, piszącym naukowcem, człowiekiem pióra. Ta książka jest zapowiedzią cyklu, trylogii, której osi są kwestie niewyjaśnione lub trudne do wyjaśnienia w świecie nauki. Można zatem powiedzieć, że na własny użytek, jako pewnego rodzaju autoterapia, wyjaśniam w ten sposób różne historie. Obudowa całości jest nieco lub też mocno sensacyjna i po części kryminalna, co odpowiada w gruncie rzeczy rzeczywistym wydarzeniom. No tak po prostu wyszło w te 28 świąt. Tyle trwało pisanie (śmiech). Pomysł na część pierwszą to kwestia, która mnie zajmuje. Chodzi tu o rozwikłanie tajemnicy do tej pory nierozwikłanej ze świata literatury, ale nie tylko, czyli zaginionej, a z pewnością istniejącej trzeciej, ostatniej powieści Bruno Schultza pod tytułem „Mesjasz”. Chciałem to wyjaśnić, a że z tego wyszła powieść to wyszło.

- Wyszła, ale w niezwykle umiętny sposób z „Mesjaszem” Schultza połączył pan historię lokalną.

- Oczywiście. To jest swego rodzaju, kolejne, autoterapeutyczne wyjaśnienie tej historii, bo to się odbywa w określonym kontekście, na określonym obszarze, w określonym tu i teraz. Jestem i bywam człowiekiem lokalnym, zresztą każdy z nas jest mniej lub bardziej człowiekiem lokalnym.

- W książce pojawia się motyw wykradzenia trumien ze zwłokami ostatnich właścicieli Lubna - państwa von Treichel, zresztą gorących zwolników nazizmu. W jaki sposób pan trafił na tę historię?

- Od kilkunastu lat mieszkam w okolicy. Przez Lubno przejeżdżam niemal codziennie. Natomiast jeśli chodzi o tę historię, to zwy-



M. Dudziak: Jestem i bywam człowiekiem lokalnym

czajnie nie wiem, nie pamiętam, czy ją usłyszałem, czy też czytałem, kiedy wróciłem ze studiów na głębokim zachodzie czy północy Europy. Myślę, że prolog, który jest w powieści, to odzworowanie historii, którą w jakiś sposób musiałem widzieć. Ta historia, to zdarzenie musiało być mi opowiedziane przez naocznych świadków lub musiałem właśnie o tym przeczytać. Ale ta historia miała miejsce. Pewnej nocy zniknęły bowiem trumny ze szczątkami ostatnich właścicieli pałacu w Lubnie. I co więcej, w tamtym czasie takich zdarzeń było w regionie więcej. I tego raczej nie mogłem skonstruować.

- Czy pana zdaniem tak ciekawe rzeczy działy się w regionie, o których my albo wiemy, albo nie wiemy, bo jakoś nie chcemy wiedzieć?

- Każdy region jest ciekawy, a ten region, ten nasz, jest arcyciekawy z czego na nowo nikt sobie nie zdaje sprawy, bo nie chce sobie zdawać sprawy.

- Co pan przez to rozumie?

- Jesteśmy sąsiadami i jesteśmy w oddziaływaniu metropolii o charakterze globalnym, czyli Berlina. Warszawa, która jest o 400 km stąd jest metropolią o charakterze lokalnym.

- Dla nas?

- Tak, ale też i dla tego regionu. Berlin jest nie tyle rozpoznawalny, ale od de-

kad jest to metropolia o charakterze globalnym. Już choćby sam fakt, że to jest ogromne miasto, wielka mozaika kulturowa decyduje o tym. I oddziaływanie tego miasta przez dziesięciolecia na ten fragment obszaru odrańskiego, na którym my mieszkamy, jest zwyczajnie oczywiste. A właśnie o tym przestaje się kompletnie pamiętać, patrząc w kierunku wschodnim. Oczywiście nie chodzi o to, aby odwracać proporcje, ale o to, aby mieć pewną świadomość tego, gdzie się jest. Przecież oddziaływanie Berlina do 1945 roku to była kwestia wyposażeń każdej miejscowości w pałac - co za tym, w rody szlacheckie, a to miało z kolei przełożenie na społeczność lokalną. I te rody, ci ludzie pozostawili po sobie ślady. A tego się nie pamięta lub się nie chce pamiętać. Lub też po trzecie - zupełnie się o tym nie wie, bo nie. Moim zdaniem należy na te znaki spoglądać bez bariery granicy. Bo gołym okiem widać, jaki to jest spójny, jednolity region i jak strona niemiecka potrafi z własnego dziedzictwa korzystać. A tak na marginesie, ja mieszkam w miejscowości, która nazywa się Nowe Dzieduszyce, w takiej leśnej kolonii, a niemiecka nazwa tej miejscowości brzmi Neu Diedersdorf. Jadąc do Gorzowa z Berlina, i to znów jest rzecz, o której się nie pamięta, że Gorzów leży na trasie Stras-

se Einz Drogi nr 1, która prowadziła i nadal prowadzi z Berlina do Królewca przez Gdańsk, to się przez region cały przejeżdża. To taka droga, o której można byłoby napisać osobną powieść. To jest jeden z najważniejszych szlaków kulturowych Europy. Przy tejże trasie, między Kostrzynem a Berlinem leżą dwie miejscowości obok siebie, z których jedna nazywa się Diedersdorf a druga Janhnsfelde. Diedersdorf to jest niemiecka nazwa Dzieduszyca, a Janhnsfelde to inaczej Janczewo. Prawda, że to bardzo ciekawa sytuacja, której osi symetrii jest Odra? W tych dwóch miejscowościach są arcy-ciekawe rzeczy, które żyją. No i po tej stronie Odry, w wyniku PRL, ale nie tylko, bo w wyniku jakiegoś zacierania wszelkich pozostałości po byłych mieszkańcach, o tym się nie pamięta. Natomiast po drugiej stronie Odry jest inaczej. Tam w czasie wolnym, weekendowym poznaje się okolicę, sąsiedztwo, przeszłość. Bo tam się o to doba, upamiętnia, choćby przez specjalne oznakowanie. U nas to też się zaczęło. Warto pamiętać i podkreślać, że to są wspólne podstawy do tego, aby wspólnie działać, wspólnie coś osiągać.

- Do niedawna jeszcze ta współpraca na styku polko-niemieckim dość dobrze działała. Od pew-

nego czasu mamy zastój. Z czego to wynika?

- Z kilku elementów. Jednym z nich jest nasycenie współpracą. I to jest takie trochę naiwne odbieranie pojednania, które się dokonało. Już nie wykonuje się ruchów typu - przebaczymy sobie, choć widzimy zwłaszcza teraz, że można rozdrapywać wciąż na nowo już zasklepione rany. Zakończyło się to parcie na to, aby sobie coś z Niemcami wyjaśnić. Bo to zostało już wykonane. Natomiast, jak ja to obserwuję, to od przynajmniej dziesięciu lat dokonuje się wymiana pokolenia.

- Co to znaczy?

- Oznacza to, że na arenę życiową weszło pokolenie, które urodziło się po roku 90., a które jest kompletnie niezainteresowane, podobnie jak i ich rówieśnicy w Niemczech, tymi sprawami. To są ludzie, którzy mają po 30 lat, czyli nie jacyś tam młodziankowicie, ale ludzie, którzy mają zupełnie indziej punkty ciężkości w zainteresowaniu rzeczywistością. Taki przykład: w tej chwili koordynuję część większego projektu po niemieckiej stronie. W Zamku Trebnitz spotykali się nastolatki, ale i nie tylko z Polski, w tym z Gorzowa, ale i z różnych miejscowości w Niemczech i oni takimi tematami polsko-niemieckimi nie są kompletnie zainteresowani. Dla nich to jest coś oczywistego. Było, dokonało się i koniec. Normalnym jest to, że się ze sobą spotykają, rozmawiają po angielsku lub niemiecku, ale historia co do zasady jest tylko i wyłącznie jednym z elementów, który się podejmuje, i tylko tyle. Oczywiście, razem się fajny kościół obejrzeli, jakiś kamień, i wystarczy. Interesuje ich teraz. W pewnym sensie to, co było jakimś masowym ruchem w latach 90., tuż przed i zaraz po wejściu Polski do Unii, teraz się kompletnie zmieniło i jest kompletnym zaprzeczeniem oficjalnej retoryki centrali w stosunku do tego, co się faktycznie na pograniczu dzieje. Ciekawe to jest i przekuwam moje spostrzeżenia na potrzeby mojej kolejnej naukowej książki. W tym nowym pokoleniu jest bardzo mocne rozrzućcie akcentów, czyli jest olbrzymia grupa, która absolutnie nie traktuje granic jako coś, co jest, co więcej, jako coś, co jest do czegośkolwiek potrzebne. Jest tam jakiś sobie inny kraj i niech sobie będzie, ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego i

nie mam. Ale jest też bardzo duża grupa, która korzysta z tej możliwości przemieszczania się - do znajomych, do rodziny, do pracy czy wręcz poznawczo. I to są ludzie, którzy nie traktują tego obszaru jako pogranicze. Uwaga - pojawia się ostatnio nowy termin - transgraniczne. Pojawiła się więc sytuacja, w której granica nie istnieje w dotychczas znanej formie i rozumieniu XX wieku. Ona co prawda jest dostrzegana, ale istnieje tylko *de jure*, nie zaś *de facto*. Co ciekawe, to nie jest tylko kwestia przemieszczania się i powrotu - jadę po coś i z tym wracam, ale co łatwo zaobserwować w wielu miejscowościach po drugiej stronie Odry, są całe polskie kwartały - ludzi, którzy tam mieszkają na stałe. Ten proces ucieka i umyka naukowej obserwacji. Tym się nikt kompletnie, no może pozna mną, nie interesuje. Przesunął się kompletnie punkt ciężkości. Nie ma już obszaru przeciętego przez Odrę. Sytuacja związana z Covid-19 po raz pierwszy w takiej skali uwiarydlała ten problem

- Czyli?

- Pokazała bowiem jak ogromna liczba osób na co dzień, a nie w sposób okazjonalny - przy jakichś projektach, ale na co dzień od wielu, wielu lat jest zaangażowana w życie po dwóch stronach rzeki. Jak wiele mają spraw życiowych po obu stronach Odry. Wcześniej ten proces był kompletnie niewidoczny.

- I ostatnie pytanie. W „Mesjaszu” pojawia się bardzo ciekawa postać, a mianowicie pan profesor Negrowski. Ukłon w stronę znajomych?

- Z pewnością. W każdej książce oprócz tego, że pisarz używa własnej wyobraźni, to konfabuluje i miksuje rzeczywistość. Nie można pisać o dalekiej północy czy mojej ulubionej Finlandii bez dotknięcia tego osobiście, choćby tylko przez chwilę. Tak samo nie można pisać o jakiejś postaci, która jest oczywiście wytworem wyobraźni, bez osadzenia tej postaci w rzeczywistości. Każda postać ma jakiś pierwowzór. Przecież Zbigniew Czarnuch - Negrowski w powieści, odegrał wielką rolę w moim życiu. Jest z pewnością katalizatorem wielu moich pomysłów, więc na pewno ukłon.

- Dziękuję bardzo za rozmowę.

- Również i zapraszam do lektury „Mesjasza. Rękopisu zbrodni”.

Ten przykład pasuje do dzisiejszych czasów

Ponizanie i oczernianie Polaków na dużą skalę było w historii szczególną domeną Krzyżaków.

Rok 2020 dla Gorzowa był rokiem z jednej strony bardzo trudnym, w warunkach kryzysu koronawirusowego, z drugiej zaś bez precedensu, od czasu odbudowy miasta po skutkach II wojny światowej, okresem ogromnych prac inwestycyjno-modernizacyjnych. Zmieniają się nasze ulice, parki, Centrum Edukacji i wiele innych obiektów użyteczności publicznej oraz reprezentacyjny Stary Rynek z otoczeniem naszej perły, jaką jest katedra.

Patrzyłem trochę zazdrośnie na 4,2-kilometrową ulicę Piotrkowską w Łodzi i śródmieście Torunia, na Starówkę i ul. Półwiejską w Poznaniu, na śródmieście Gniezna, Gdańską czy choćby Nysy i Radomia - i marzyłem, że ten kierunek urbanizacji śródmieść dotrze i do nas. Dociera... Tam postawiono na estetykę, nowe rozwiązania komunikacyjne pogodzone z zabytkowym układem urbanistycznym - u nas też. Nie „zaduszono” lokalnego handlu ani śródmiejskiej aktywności gospodarczej, nie zapomniano o parkingach, nie zlekceważono zmotoryzowanych - czego jednak nie można powiedzieć o śródmieściu Gorzowa Wlkp. **Modernizować śródmieście trzeba roztropnie oraz w interesie jego mieszkańców, właścicieli małych kawiarenek i sklepów, bo sama estetyka nie gwarantuje uznania. Śródmieście to dzielnica dzielnic, która ma tętnić życiem, to socjologiczny zespół dobrych warunków życia jego mieszkańców.** Stare powiedzenie „jak cię widzą, tak cię piszą” dzisiaj tak dosłownie nie działa, bo do oceny miasta, państwa czy społeczeństwa bierze się pod uwagę też jego kondycję gospodarczą i finansową, szczególnie portfele każdego obywatela i przedsiębiorcy, a tu znowu upadają małe gorzowskie sklepiki w śródmieściu, a centrum jakby się wyludnia. To jedna z przyczyn naszego złego wizerunku za Odrą, ale nie tylko... Ocena Polski przez moich niemieckich przyjaciół kształtowana jest na podstawie różnych tamtejszych przekazów medialnych. Oni zauważają nasze autostrady, dobre zmiany, nowe osiedla, remonty ruin powojennych, a jednak dalej w ich świadomości pokutuje stereotyp biednej i zacofanej Polski.

Oni nie wiedzą, że nasze opóźnienia gospodarcze rozpoczęły się od najazdów niemieckich Krzyżaków, później za czasów panowania w Polsce dwóch królów saskich, de facto też Niemców, którzy swym działaniem, a także za-

niechaniem reform przygotowali grunt pod pruskie, ruskie i austriackie rozbiory Polski na 123 lata. Później była I wojna światowa, która spustoszyła ziemie polskie, a za 20 lat w ruinę obróciła Polskę II wojna światowa - obydwie wywołane znowu przez Niemcy. Tylko, jak to moim przyjaciołom z Niemiec powiedzieć, że nas ich dziadowie i ojcowie zniszczyli oraz okradli? Ich tej historii nie uczą, a bez tej wiedzy mają wypaczony obraz dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Widzę, że mają dzisiaj przyjacielskie zamiary, to jednak nasze rozmowy często z grzeczności w połowie tematu się urywają, bo trzeba by było, gwoli wyjaśnienia, powiedzieć im wiele bolesnej prawdy.

Ponizanie i oczernianie Polaków na dużą skalę było w historii szczególną domeną Krzyżaków. Teraz na nowo w uniijnej narracji odżywa przy rozprawianiu o tzw. praworządności w Polsce - znowu przodują Niemcy w towarzystwie Holendrów. **Takie pierwsze spektakularne wyjście Polski na arenę świata zachodniego w obronie dobrego imienia Polski odbyło się podczas Soboru w Konstancji w latach 1414-1418.** Wtedy to, w obecności kilku tysięcy przedstawicieli świata chrześcijańskiego, Zachód usłyszał twarde polskie stanowisko w sprawach ówczesnej Europy związane z ponizaniem i rabowaniem Polski przez niemiecki Zakon Krzyżacki. Ten przykład pasuje do dzisiejszych czasów.

Oto 29 stycznia 1415 r. na Sobór do Konstancji przybyła 200-osobowa polska delegacja wykształconych w Padwie i Bolonii profesorów Akademii Krakowskiej, polskich biskupów, wysłanników króla oraz czołowych rycerzy z Zawiszą Czarnym na czele. Spodziewano się tam polskiego nieokrzesanego pospólstwa, a tu przybyli delegaci bogaci i wykształceni, światli biskupi i uczeni z polskiego uniwersytetu, waleczni rycerze, wszyscy w dodatku z pełnymi sakiewkami. Wzięli ze sobą nawet żywność, miody pitny oraz w beczkach mięso z polskich turów, które gdzie indziej w Europie już dawno wyginęły.

Polska delegacja przyjechała na Sobór w trosce o sytuację Kościoła i wybór nowego papieża, w związku z kryzysem wywołanym schizmą Jana Husa i działalnością dwóch antypapieżów, ale też przy okazji postanowili przedstawić papieżowi i europejskim władcom, tzw. problem z Krzyżakami, którzy po klęsce



Augustyn Wiernicki, absolwent Akademii Rolniczej i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, od 1982 przedsiębiorca i właściciel znanej firmy w Gorzowie Wlkp., były radny, doradca wojewody w latach 2000-2001, społecznik, od 1992r. prezes i założyciel Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna. Prezes Zespołu Koordynacyjnego Związków i Stowarzyszeń Dzieci Wojny w Polsce (z siedzibą w Gorzowie Wlkp.). Członek Zespołu Organizacyjnego Narodowego Kongresu Trzeźwości.

pod Grunwaldem w 1410 r. wcale nie zaniechali ponizania Polski i najazdów na jej ziemie. W obliczu tych zagrożeń wcześniej Polska i Litwa zawarły sojusz w Krewie (1385r.) i przypieczętowały go ślubem Jagiełły z Jadwigą w roku 1386r., co było początkiem chrystianizacji Litwy, a Krzyżacy przez to utracili wobec Litwy cel misyjny. Zakon jednak kontynuował agresywną politykę przeciwko Polsce i Litwie; napadał, rabował i siał propagandę antypolską na cesarskich, papieskich i europejskich dworach.

Tej wrogiej propagandzie przeciwko Polsce przewodził dominikanin Johannes Falkenberg, Niemiec z Gdańska. Rozpowszechniał on po europejskich dworach i wśród biskupów paszkwil pod tytułem *Satyra przeciw herezji i innym nikczemnościom Polaków i ich króla Jagiełły*. Falkenberg bronił Krzyżaków po klęsce pod Grunwaldem, a oskarżał polsko-litewskiego króla Jagiełłę i księcia Witolda o to, że popierają pogan. Nawoływał do unicestwienia narodu polskiego oraz ich króla, jako wrogów chrześcijaństwa i Zakonu Krzyżackiego.

Do Konstancji przyjechali wówczas najlepsi polscy profesorowie prawa Akademii Krakowskiej z prof. Pawłem Włodkowicem na czele; naszej delegacji przewodniczył światły arcybiskup z Gniezna Mikołaj Trąba, który podczas soboru otrzymał tytuł pierwszego prymasa w historii Polski. Całą delegację polską chronił znany ze swego męstwa

rycerz i delegat Zawisza Czarny.

Pobyt na Soborze i obrady oraz wystąpienia w obronie Polski trwały cztery lata, z przerwami na konsultacje z polskim królem. Sam papież wielokrotnie kontaktował się listownie z polskim władcą. Już przez to pozycja Polski na Soborze, a później na Zachodzie znacznie wzrosła. Głównym mówcą w sprawach Kościoła i oskarżycielem Zakonu Krzyżackiego był rektor Akademii Krakowskiej prof. Paweł Włodkowic.

Jednak w pewnym momencie opozycja pro krzyżacka nie chciała wpuścić delegacji polskiej do pałacu papieskiego. Polacy dostali się do niego siłą. Wtedy to Zawisza Czarny, 4 maja 1418 r., wraz ze swymi rycerzami wylał bramy, dostał się do komnat i oświadczył Ojcu Świętemu, że czci polskiego króla będzie bronić „gębą i ręką”. Uzyskał wówczas od nowego papieża Marcina V potępienie traktatu Jana Falkenberga z Gdańska, którego paszkwil zakazano publikować i rozpowszechniać, a jego samego skazano w 1424 r. na pobyt w klasztorze.

Największym sukcesem polskiej delegacji było to, że Polska swą twardą postawą w obronie Kościoła i Polski pokazała się wówczas po raz pierwszy w Europie Zachodniej jako równoprawny partner, z którym powinny się liczyć inne królewskie dwory. Wtedy też polskiego prymasa Mikołaja Trąbę zaproponowano jako kandydata na Stolicę Piotrową, prawie

600 lat przed kard. Karolem Wojtyłą. **Przykład rektora prof. Pawła Włodkowica oraz rycerza Zawiszy Czarnego we współpracy z prymasem Polski bpem Mikołajem Trąbą jest w pełni aktualny i powinien być wzorem aktywności naszych polityków!**

Kiedy patrzę na to, co od kilku lat dzieje się wobec Polski w Brukseli, gdy obserwuję, ile pomyj wylewa się przeciw własnemu narodowi w UE i w polskim Sejmie, to przychodzi mi na myśl ta sytuacja na Soborze w Konstancji oraz ci obrońcy dobrego imienia Polski. **Potrzebujemy dzisiaj takiego prof. Pawła Włodkowica, rycerza Zawiszy Czarnego i takiego prymasa Polski, jakim był bp Mikołaj Trąba.** Byłoby zupełnie inaczej nawet wobec sprzeciwu Polski i Węgier w UE w związku z tzw. mechanizmem warunkowości i uzależnienia wydatków z nowego budżetu w latach 2021-2027 od oceny niesprecyzowanej praworządności. Wtedy urzędnicy brukselscy mogliby nam te środki za byle co odbierać i pomiać polskim i węgierskim rządem w zależności od swej politycznej woli. „Dlaczego jednym politykom zależy na suwerenności Polski, a innym jest to obojętne?” - na to pytanie należy domagać się odpowiedzi. Rozporządzenie budżetowe zaproponowane przez niemiecką prezydentkę zostało zablokowane oficjalnym sprzeciwem Węgier i Polski, obawiających się możliwości narzucania różnych ideologicznych rozwiązań całej Europie. **Polska i Węgry twardo wystąpiły przeciw machinie niemiecko-francuskiej, tak jak wtedy w Konstancji przeciwko hegemonii Krzyżaków budujących swe germańskie imperium kosztem m.in. Polski i Litwy.**

Dzisiaj Polska dla dobra UE przyjęła na siebie ciężar ataków brukselskiego aparatu władzy, któremu przewodzą Niemcy. Powstał dylemat, czy chcemy, żeby kraj nasz istniał jako wolny, czy też na zawsze ma być pod butem nowych „Krzyżaków” - uniijnych urzędników. Zdumiewa postawa tych polskich polityków jeżdżących do Brukseli, donoszących na polski rząd i domagających się nadzórności nad Polską. Trzeba to zdiagnozować, nawet w interesie tej opozycji, która za kilka lat chce przejąć władzę w Polsce. Czyżby ciężki but niemiecki i uniijnych komisarzy był im w przyszłości obojętny? Przecież to jest pytanie o polską rację stanu!

Premierzy Mateusz Morawiecki i Viktor Orban podpisali porozumienie, że na dyktat UE się nie godzą - nawet za cenę użycia weta. „Traktaty to jak konstytucja UE i ich się trzymamy. [...] tak sformułowana warunkowość to kij na każde państwo. [...]” mówił premier Mateusz Morawiecki. Ani ten obecny, ani żaden inny w przyszłości polski Rząd nie ma prawa zgodzić się na niedoprecyzowany „mechanizm praworządności”, bo to droga do zniewolenia Polski. **Dlaczego Niemcy prą do mechanizmu praworządności? Odpowiedź jest prosta: „Dążą do hegemonii w Unii Europejskiej”.** Przynajmniej wiemy, co im się marzy! Niczym krzyżacki scenariusz... W efekcie sporu Polski i Węgier z UE doszło jednak do porozumienia. Państwa Unii podpisały deklarację, tzw. konkluzję, która rozstrzygnięcie ostateczne przesuwają znacznie w czasie, precyzując jednak, że mechanizm praworządności dotyczy tylko wydatków budżetowych. George Soros oraz „Süddeutsche Zeitung” lamentują, że Unia w sporze z Polską i Węgrami o tzw. praworządność poniosła klęskę, że teraz niewiele tym państwom będzie można zrobić. Premierzy Polski i Węgier ogłosili swoje zwycięstwo. **Kraj nasz otrzyma 750 mld zł na lata 2021-2027. To olbrzymi zastrzyk finansowy.** A w ogóle; to Polska per saldo zyskuje na swojej obecności w UE czy też nie? W następnym artykule spróbuję to wyliczyć. A jak będzie? Czy Niemcy i Francja dotrzymają warunków konkluzji dołączonej do budżetu UE? Z tą wiarygodnością dotychczas było różnie... W Unii tylko twardzi gracze nie dają się ogrzać silniejszym i trzeba zawsze mieć alternatywę, choćby Trójmórze, czy USA. W Unii musimy być! Ale czy poza Unią, jak Anglia, nie dalibyśmy sobie radę? Myślę, że to pytanie wcale nie jest banalne... Parafrazując słynne powiedzenie, powiem: **„Chce mieć Polska pokój, niech się szykuje do gospodarczej wojny” - w polityce tylko silni i odważni mają rację.** Kierujemy się też przykładem Pawła Włodkowica, Zawiszy Czarnego i prymasa Mikołaja Trąby na Soborze w Konstancji. Niech ten artykuł będzie głosem z Gorzowa z pytaniem: „Czy można oddać suwerenność Polski za kilka miliardów euro rocznie więcej?”. Idźmy za głosem Wincentego Witosa: „A Polska winna trwać wiecznie”. Ex fructibus eorum cognoscetis eos.

AUGUSTYN WIERNICKI

A to wszystko z miłości do jazzu

Z Bogusławem Dziekańskim, dyrektorem Jazz Clubu Pod Filarami, rozmawia Renata Ochwat

- Wyobrażałeś sobie, że 40-lecie jazzowych Filarów będzie wyglądało właśnie tak? Zamknięty klub. Zaraza na ulicach?

- Wiesz, ja sobie po pierwsze nie wyobrażałem, że tyle lat będę w Filarach. A że tak to będzie wyglądało, to zazwyczaj nikt by sobie nie wyobrażał. Przecież to jakaś czarna dziura jest. I my w niej jesteśmy, ale nie ze względu na 40-lecie, tylko ze względu na to, co się wokół nas dzieje. I tak naprawdę to my nic nie wiemy co do przyszłości.

- Ale wróćmy na chwilę do przeszłości. Jak ty się w Filarach znalazłeś?

- Przede wszystkim z wielkiej miłości do muzyki jazzowej. To się stało na przełomie mojej szkoły zasadniczej i technikum. Punktem zwrotnym była obietnica. Mama obiecała, że jak zdam do technikum elektrycznego, to kupi mi magnetofon szpulowy. No i dostałem taki ZTK 120, szczyt marzeń w tamtych czasach. No i sobie nagrywałem audycje jazzowe, płyty. Biegałem po mieście, szukałem pisma Jazz Forum, a dostanie go wówczas było trudną sprawą. Bywałem w Empiku, żeby płyty po znajomości, spod lady załatwić. Takie to były czasy. Dziś to wszystko mamy w sieci. A wówczas trzeba było to jakoś załatwić. I wiesz, to się wzięło też z takiej kultury trzepakowej.

- To znaczy?

- Ano z tego, że latach 70. ubiegłego wieku, na takich osiedlach jak Gwiazdźista, na którym ja się wychowywałem, przy trzepakach dywanowych kwitło życie. No i kiedy ja tam kolegom opowiadałem o jazzie, to oni się ze mnie mocno śmiali. I im oni mocniej się naśmiewali, tym mocniej ja w to brnąłem.

- Ale od razu jazz?

- Tak po prawdzie na początku byłem mocno zafascynowany rockiem, a dokładnie muzyką Jimmy Hendricksa, który tak naprawdę był prekursorem muzyki jazzrockowej. Potem były jeszcze Trzy kwadransy jazzu w radiu, taka moja prywatna Mała Akademia Jazzu. No i nadszedł rok 1977, kiedy to przy Gorzowskim Towarzystwie Muzycznym, które



B. Dziekański: Tak po prawdzie na początku byłem mocno zafascynowany rockiem

zakładał w Gorzowie pan Władysław Ciesielski, powstał klub muzyczny. Ale to był klub bez klubu. Mieliliśmy spotkania albo na ławkach, albo w dawnym Klubie Spółdzielni Mieszkaniowej Profil, gdzie organizowaliśmy pierwsze koncerty. I co ciekawe, na jednym z pierwszych koncertów pojawił się Janusz Muniak. Potem znów coś się porwało i znów spotkania odbywały się na ławkach lub w prywatnych mieszkaniach. Aż przyszedł rok 1979...

- Co się wówczas stało?

- Od września tamtego roku znaleźliśmy siedzibę w Domu Kultury Kolejarski. I wówczas już koncerty odbywały się regularnie, raz w miesiącu. I ja zacząłem te koncerty bardzo mocno moderować. Pracowałem w kotłowni miejskiej i stamtąd w fartuchu roboczym wydzwaniałem do Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego i stamtąd załatwiałem pierwsze koncerty jazzowe. Wszystko nadal było pilotowane przez Towarzystwo Muzyczne. W tym samym roku w czerwcu odbyło się walne zebranie Towarzystwa, na którym podjęto decyzję o pozyskaniu dla gorzowskiego jazzu nieczynnego wówczas klubu Pod Filarami. Jak to mam ładnie zapisane w mojej pracy magisterskiej - doszło do spotkania władz społeczno-politycznych ówczesnego miasta Gorzowa i podjęto wówczas taką decyzję, aby doprowadzić do re-

montu. Co też się stało i w październiku 1980 roku przekazano klub gorzowskiemu środowisku jazzowemu. Pilotował te prace Zbigniew Siwek, i tak suma sumarum 29 października 1980 roku Filary zostały otwarte. Zbyszek jeszcze kilka miesięcy był szefem. Zrezygnował wiosną 1981 roku. Ja wówczas zmieniłem swój zawód. Spotkałem się z ówczesnym dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury i on mnie zapytał - a czy wie pan, co robi?

- Co mu odpowiedziałeś?

- No oczywiście, że wiem. I tak się zaczęła moja przygoda z Filarami. Tak zostałem sternikiem tego wszystkiego wiosną 1980 roku. Przyszły działania z budowaniem tożsamości klubu, budowaniem publiczności, wychowywaniem publiczności do słuchania jazzu. Potem doszła pierwsza wielka impreza, czyli Pomorska Jesień Jazzowa w 1986 roku, a jeszcze później to, co jest chyba najważniejsze i jest znakiem kulturowym tego miasta - Mała Akademia Jazzu. To wszystko funkcjonowało jeszcze w strukturach Wojewódzkiego Domu Kultury, Gorzowskiego Towarzystwa Muzycznego i organizacji młodzieżowej - Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, w której budynku Filary istniały (i istnieją w tym samym budynku do dziś). Warto tu dodać, że to właśnie ta organizacja w 1964 roku powołała do

życia Klub Pod Filarami, jako wyraz fascynacji ówczesnej młodzieży rodzącym się big beatem.

- I do kiedy trwa ta sytuacja?

- Do lutego 1992 roku, kiedy to ówczesny naczelnik miejskiego wydziału kultury Janusz Słowik oraz inspektor wojewódzkiego wydziału kultury Leszek Bończuk doprowadzili do podjęcia decyzji o usamodzielnieniu Filarów. I została powołana instytucja kultury o nazwie Jazz Club Pod Filarami. Był to też okres zamętu wokół klubu. Ówczesny dyrektor WDK nie mógł znieść mojej niezależności. Z kolei organizacja młodzieżowa ciągnęła kordę w drugą stronę, dyskoteki tam chcieli robić. Trzeba było to uporządkować, bo w innym przypadku klubu by nie było.

- I co potem?

- Po usamodzielnieniu już te wody sobie płynęły. Działała Akademia, normalna działalność koncertowa, zaczęły się pojawiać pierwsze nazwiska amerykańskie....

- Dzisiaj się to tak łatwo mówi. Pierwsze nazwiska amerykańskie. Wówczas, początek lat 90., to wcale nie było łatwe. Jak się udało tobie ściągać zagraniczne gwiazdy do Gorzowa, w końcu niezbyt dużego miasta?

- Fakt, to nie było łatwe, ale mieliśmy od samego początku świetnego przyjaciela, Andrze-

ja Kubę Florka, niestety od lat już nieżyjącego, który był bardzo mocno zaangażowany w działalność menadżerską. Organizował między innymi festiwal Solo, Duo, Trio w Krakowie i poprzez ten festiwal i naszą znajomość mogliśmy mieć w Gorzowie tych samych muzyków, którzy pokazywali się w Krakowie.

- A potem klub sobie działał z różnymi kłodami rzucanymi mu pod nogi przez różnych ludzi. Aż w końcu przyszedł wielki projekt, który moim zdaniem jest najjaśniejszą gwiazdą na jazzowym firmamencie, czyli Gorzów Jazz Celebration. Jak do tego doszło?

- Moim marzeniem było, żeby dać okazję mieszkańcom Gorzowa do słuchania wielkich gwiazd jazzu właśnie tu, bez konieczności wyjeżdżania gdzieś tam. Pierwszy mój zamysł był taki, żeby sprowadzić do Gorzowa Joe Zawinulę. To się świetnie składało - 75-lecie Joe na 750-lecie miasta. Nie wyszło, szkoda. Kilka miesięcy później ten projekt odbył się w Krakowie. Potem jakoś tak w lutym 2005 roku się obudziłem i pomyślałem, że może wobec tego trzeba zaprosić Richarda Bonę.

- No i odbył się niezapomniany koncert w Teatrze Osterwy, kiedy wszyscy trzy godziny czekaliśmy na gwiazdę, która sobie jechała autobusem...

- I zobacz. Ludzie czekali, nikt nie oddał biletu, nikt nie narzekał. To było coś niezwykłego. A kiedy koncert się w końcu zaczął, okazało się, że to był jeden z najlepszych w karierze Bony, bo on lubi gadać na scenie, a tu się skupił na muzyce. To był nieprawdopodobny początek czegoś niezwykłego.

- Ale wokół klubu wydarzały się ciekawe rzeczy. Mam na myśli choćby to, że przyjeżdżali ludzie, o których nigdy nie myślałeś, że się zdarzą.

- Mówisz o koncercie Billy Cobhama - perkusisty Milesa Davisa. Fakt, pojawił się w takim projekcie Luluk Purvanto - indonezyjskiej skrzypaczki i jej męża Rene van Helsdingena. Oni polubili Filary i kilka razy

wracali. No i podczas tamtego koncertu, a była to późna jesień, mieli w składzie jakiegoś włoskiego perkusistę. No i nagle widzę, że jakiś wysoki Afroamerykanin w czapce z daszkiem tacha te bębny. Rene do mnie mówi, że to właśnie Billy, to mnie na moment zamurowało. To było niezwykle wydarzenie. Legenda jazzu zawitała do Gorzowa. Na tym koncercie była też Krystyna Prońko i ona się upewniała, czy dobrze widzi i za bębnami siedzi sam Cobham.

- Bogdan, zakładamy, że ta czarna dziura się kiedyś skończy, że prędzej lub później jednak z niej wyjdziemy. Znów będą koncerty z posiadami do białego rana. Co byś jeszcze chciał?

- Przede wszystkim odbudować potencjał Małej Akademii Jazzu. Bo przecież wszystko zostało zatrzymane. Dziś już widać, że wszelkie manipulacje edukacyjne, bo tak to trzeba nazwać, manipulacje przez sieć są słabe. W naturę człowieka jest wpisana potrzeba kontaktu bezpośredniego. I to przez lata się w Akademii świetnie sprawdzało. Tym bardziej zatem trzeba będzie pracować, aby do tych relacji wrócić, przywrócić je i wzmocnić. Fajnie by było, żeby nasz Big Band się wzmocnił. Bo też jest ciekawa historia. Bo to jest moje oczko w głowie na dziś.

- Dlaczego akurat to?

- Wiesz, wiele fantastycznych rzeczy się wydarzyło. Wielkie nazwiska zagrały u nas. To jakoś tak naturalnie wyszło. Ale jeśli się spotyka grupa ludzi, która w swojej biografii ma Małą Akademię Jazzu, a wiem to od nich, i oni chcą razem grać, co więcej, wracają na te występy do rodzinnego miasta z innych, w których mieszkają, to jest coś niebywałego. To jest coś najpiękniejszego w kulturze, tworzyć coś nowego na bazie swoich wychowanków. Zamyka się pewne koło. Można powiedzieć, że konsekwencja, upór i świadomość dążenia do założonego celu jednak ma sens. To także kwestia choćby tego, że udało się wychować całkiem sporo muzyków, którzy tworzą polską scenę jazzową. To ma sens.

- Dziękuję bardzo.

reklama

POGOTOWIE KOMPUTEROWE

732 863 648

Piasek to był Piasek,

26 maja 1985 r. w gorzowskim amfiteatrze tłumy witały Leszka Piaseckiego, który właśnie wygrał legendarny w owym czasie Wyścig Pokoju.

Lech Piasecki niemal z dnia na dzień stał się narodowym bohaterem. A przecież był to dopiero początek jego wspaniałej światowej kariery, która eksplodowała właśnie 35 wtedy. Przypominamy tu o niej w reportażu „Tęczowy kolarz”, który ukazał się książce „Przygody ze sportem” wydanej w 1995 r. nakładem Agencji Dejamir.

Tęczowy kolarz

LECH PIASECKI MISTRZEM ŚWIATA! CAMPIONE DEL MONDO! Wiwatowali na jego cześć włoscy tifosi 31 sierpnia 1985 roku wokół górzystej pętli Giavera Del Montello.

Nie, to niemożliwe... Przecież... Sam nie mógł w to uwierzyć. A jednak, on, nikt inny z grona 189 szosowców, został mistrzem świata amatorów... Był ostatnim, do którego to dotarło.

Maciej Biega na łamach tygodnika „Sportowiec” napisał później:

„Mierzejewskiego i Piaseckiego mianowano liderami grupy. Sereidiuka jako libero, wolny strzelec bez wielkich działań defensywnych, szukający swej szansy w ataku, a dla trzech pozostałych - tłuczenie kamieni na szosie - forsowanie tempa, obecność w awanturach nawet z góry skazanych na zagładę, lutowanie, spawanie, łatanie. /.../. Jaskuła, Leśniewski i Szerszyński przyjęli chyba swój los bez specjalnego umartwienia. /.../.

Zenon Jaskuła był człowiekiem, który podczas początkowych okrążeń wyścigu nie opuszczał pierwszych pozycji, wtedy gdy pozornie walczy się o nic, albo o wartości tak nieuchwytnie dla obserwatora z zewnątrz, że prawie żadne. O uznanie trenera i być może kilka życiowych słów.

Obok Jaskuły długo na powierzchni wody mijał się Jan Leśniewski, zanim wciągnął go wir bezlitosny i morderczy - zmęczenie i apatia przegranych.

Wreszcie Marek Szerszyński, najszcześniejszy, bo najbardziej widoczny. Jechał obok polskiego mistrza świata prawie aż do końca. Najwierniejszy, to znaczy najwytrwalszy pomocnik wielkiego wygranego.

I jeszcze Andrzej Sereidiuk. Na czwartym lub piątym okrążeniu przy przeskakiwaniu owych trzech garbów szarpnął Jaroszenko. Szurkowski stał wtedy na zboczu obok Aleksandra Gusiatińskiego, który zastąpił w drużynie

ZSRR Wiktora Kapitanowa. Jaroszenko szarpnął i było to jakby uderzenie młotem, eksplozja, trzęsienie ziemi. Gusiatińskow, stary rywal Szurkowskiego, zajarzył się z radości. Na czele peletonu bardzo pracowali Niemcy Lindnera, kłębiły się zagony zachodnich wolontariuszy, czaiły regularne szeregi skandynawskich formacji. Wszyscy zamarli, tyle było uderzeniowej siły w ataku Jaroszenki. Zanim Szurkowski odzyskał głos białoczerwona sylwetka wyprysnęła z tej ogłuszonej trwogą gromady. Sereidiuk! Szedł strasznie. W skok był przy Jaroszence. Na grzbiecie „Wielbłąda” mieli 40 sekund przewagi. Sereidiuk poprawił Jaroszenkę. Szurkowski spojrzał na Gusiatińskowa. Uśmiech zamarł na twarzy radzieckiego trenera. Jaroszenko puścił korbę. Atak, który miał wstrząsnąć peletonem, zakończył się, nim się zaczął. Może na nieszczęście Sereidiuka, może na szczęście polskiej drużyny. /.../

Lider, być może główny, padł na drugim okrążeniu, jadąc na przedzie na dzieśiątej pozycji. Tego dnia z różnych powodów udzielono 60 razy pomocy medycznej na trasie. I uder słoneczny Murzyna z Afryki i potłuczenia, obtarcia, zranienia, od Włochów, z mistrzem kraju Pelliconim poszkodowanym od razu w pierwszej kraksie, po Christianssona, który w samotnej ucieczce na jednym z ostatnich zakrętów przed metą znalazł wredny krawężnik. Mierzejewskiego lekarz nie opatrywał. Wytrzymał uderzenia o asfalt i może walczyłby dalej, gdyby był biegaczem. Jako kolarz został spieszony. Rower w prosku, oba koła na złom. Rower i koła w rozsypce, a więc straty sekund i minut, których nie sposób odrobić. /.../

Spotkaliśmy się z Mierzejewskim w telewizyjnej salce przydrożnej gospody, na przeciw polskiego boksu, aby popatrzeć na to, co robi Piasecki. „Mierzej” zapowiedział mi już na wstępie, że „Piasek” zostanie mistrzem świata, albo metodą odjazdu bezpośredniego, co on, Mierzejewski, polecałby przede wszystkim, albo ostrym finiszem, najlepiej z odległości 300 metrów. Taki styl jazdy na finiszu doradzał trener Szurkowski. /.../

Mierzejewski już siedział przy mnie na kamiennej podłodze obok włoskiego mistrza „dietetanti” - Pelliconiego, obdartego ze skóry.



L. Piasecki najczęściej jechał z przodu kolarskiego peletonu

Na ekranie Piasecki i ostatnie dwa okrążenia /.../ „poszedł! Zaraz ich złapie! Popił, spokojny, tylko on może wygrać! Pięciu to znaczy w sam raz! Pudło pewne, choćby nie wiem co! Kto tu groźny? Włoch, Francuz? Z „Piaskiem” nie mają szans. Leszek złościutki, wolniej, nie pracuj tyle, uważaj, któryś z północnych może skoczyć. Spokojnie, pomalutka. Pan zobacz, pod górkę pójdziesz sam. Solo! „Piasek” solo! O, już idzie. Nie daj! Teraz na koło! Prawie minutę są w przedzie. Rozjechali się. Nic nie robią. To za wcześnie. Złapią ich, złapią. Była taka szansa! Co teraz? No, „Piasek” nie puszczaj. „Szerszeń” goń Duńczyka. Strasznie idzie. „Piasek” za nim. Już za tym zakrętem koniec. Leszek, „Piasek”. „Piasek” oberwał ich z koła, po prostu ich oberwał!”

Tak właśnie opisywał 177 kilometrową jazdę Leszka Piaseckiego po tęczową koszulkę mistrza świata amatorów Maciej Biega na łamach popularnego wówczas tygodnika „Sportowiec”. Cytat to może nieco przydługi, ale jakże wspaniale oddający jeszcze wspanialszą walkę o zwycięstwo Piaseckiego całego polskiego zespołu. Jakże pięknie komentował finiszowe metry A. Mierzejewski, który nie myślał o swoim pechu, nie rozczułał się nad sobą lecz sercem, całym swoim jestestwem był przy koledze, ogromnie się ciesząc, że ten dokonał wielkiej sztuki.

Bez cienia zawiści, żalu, szczerze.

Cóż za cudowna musiała tam być atmosfera! No i ten fenomenalny Piasecki! Bravo Szurkowski! Postawił na „Piaskę”, mimo iż doskonale wiedział, że ten przechodzi katusze, że nie jest w pełni fizycznych sił i wcale nie w szczytowej formie. No, ale on zrobił z niego światowego formatu kolarza, znał go jak mało kto, więc wierzył, choć obaj mieli świeżo w pamięci kraksę na wyścigu w Belgii, gdzie na gorzowianina zwała się góra ciał i rowerów, czego konsekwencją był wybitny bark, który tutaj pod włoskim niebem bolał jeszcze okrutnie. Jeszcze na tydzień przed wielką galą na Giavera Del Montello ludzie słabsi duchem powątpiewali w sens czynienia Piaseckiego liderem. Trener R. Szurkowski miał wówczas powiedzieć: „Piasek” to jest „Piasek”, będzie go bolało, ale pojedzie, a inni będą dla niego pracować.

Wielki mistrz wiedział co czyni. Już od kilku lat Piasecki kreowany był przecież na jego następcę, a on się nie zapierał, wręcz pomagał, pchał go do przodu co sił, wiedzy i trenerskiego talentu miał w sobie. Uczeń nie zawiódł mistrza, sam stając się mistrzem, i to w jakim stylu! Mimo słabości i bólu. Wspomniany i cytowany tu Maciej Biega, jeden z największych znawców kolarstwa wśród dziennikarzy, tak o tym napisał: „Aby wygrać mistrzostwo świata w szoso-

wym kolarstwie trzeba się zdobyć na coś więcej niż to jest wyobraźalne. Żeby wygrać, kiedy jest się trochę obok górki, obok formy, trzeba być nie tylko kolarzem lecz także wspaniałym człowiekiem”.

Nic dodać, nic ująć - to właśnie był cały Lech Piasecki, człowiek, który upodobał sobie kolor tęczy...

Od Frańczuka do Szurki

Kiedy Ryszard Szurkowski odnosił swoje wielkie kolarskie sukcesy, Leszek, który urodził się w 1961 roku, ścigał się z kolegami na podwórku. Interesował się kolarstwem, ale potrzebował czasu, by dojrzeć do życiowych decyzji. Przełomowym momentem tym impulsem, który pchnął go na siodło wyczynowego roweru był Wyścig Pokoju.

- Któregoś roku, za czasów Czechowskiego, Hanusika i Szurkowskiego Wyścig Pokoju przejeżdżał przez moje rodzinne Lipiany - wspominał po latach na łamach „Sztandar Młodych”. - Od samego rana byłem tym niezwykle podniecony. Wraz z ojcem na kilka godzin przed przejazdem zawodników wdrapaliśmy się na niewielką górkę, skąd widać było doskonale przejeżdżający peleton. Chwila emocji trwała bardzo krótko. Zaledwie kilka czy kilkanaście sekund. Zapamiętałem jednak wszystko co się działo. Różnokolorowe koszulki kolarzy, ryk samochodów, całą tę otoczkę. Wówczas chyba pomyślałem o tym, by zostać kolarzem.

Najbliżej miał do Myśliborza, gdzie istniała kolarska filia gorzowskich Orłąt. Zgłosił się tam w 1976 roku, do Kazimierza Frańczuka, który jako pierwszy zaczął ciosać z niego kolarza. Robił błyskawiczne postępy, ze startu na start poprawiał swoje lokaty, odnosił efektowne zwycięstwa w rywalizacji młodzików. Wręcz rzucało się w oczy, że ma talent, zapał do pracy i zdrowie. Nastąpiło jednak zdarzenie, które pod znakiem zapytania postawiło jego rozpoczynającą się karierę. Na trening do Myśliborza dojeżdżał z Lipian oczywiście rowerem. Pewnego razu w drodze do domu miał wypadek. Znalazł się w szpitalu, gdzie przeszedł poważną operację. Na szczęście zdrowy organizm zniósł to bardzo dobrze i po kilkumiesięcznej rekonwalescencji Leszek znów wsiadł na rower.

W Myśliborzu sekcja się rozsypała i w 1978 roku przeniósł się do Gorzowa, gdzie zaopiekował się nim Mieczysław Szurko, przed laty dobry kolarz POM-u Strzelce Krajeńskie, który miał na swym koncie tytuł górskiego mistrza Polski. M. Szurko był dla Leszka czymś więcej niż tylko trenerem, szkoleniowcem, managerem. Kiedy dojazdy z Lipian do Gorzowa stały się za nadto uciążliwe, Leszek zamieszkał w domu Szurki w Strzelcach, gdzie miał prawo czuć się jak w rodzinnym gnieździe. Kiedy nastał kryzys i na rynku brakowało niemal wszystkiego, Szurko hodował świniaki, aby także Leszek mógł dobrze zjeść po wyczerpującym treningu. Szurko za własne pieniądze kupował części do roweru; Szurko pilnował, by nie stała mu się krzywda; Szurko... W każdej potrzebie był przy nim. Był serdecznym opiekunem i przyjacielem.

Piasecki, jako junior miał czym się pochwalić. Dwukrotnie zdobył złote medale - w latach 1979-80 w jeździe indywidualnej na czas. Tylko nieliczni fachowcy przepowiadali mu wówczas wielką karierę, bo przecież z nie każdego zdolnego juniora wyrasta klasowy senior. On w gronie seniorów zaistniał w zauważalny sposób już w 1981 roku. Najpierw otrzymał powołanie do kadry zaplecza Mariana Więckowskiego, następnie trafił do ścisłej kadry narodowej trenera Zbigniewa Rusina, gdzie prym wiodli Lang, Sujka i Jankiewicz. Po kilku miesiącach przygotowań pojechał na mistrzostwa świata do Pragi. Tempo zaisztalone. Przygotowywany głównie z myślą o wyścigu drużynowym brał też udział w zawodach indywidualnych. Nie osiągnął tam sukcesów, ale trudno też było ich oczekiwać. - Byłem wówczas ciężko przestraszony - odpowiadał nagabywany o przyczyny niepowodzeń. - Mistrzostwa, barwny peleton, tysiące ludzi, olbrzymi tłok w peletonie. Wszystko to podziało na mnie deprymując. Nie wiedziałem w ogóle jak się zachować.

W sezonie 1982 rzucił już na krajowych szosach, zaczął mieszać w międzynarodowym peletonie. Zdobył tytuł indywidualnego mistrza Polski w kolarstwie szosowym ze startu wspólnego pokonując m.in. Szczepkowskiego, Mytnika, Michałaka, Brzeźnego, Zagajewskiego, Mierzejewskiego oraz wciąż

czyli kolarz na medal

świetnie jeżdżącego Szurkowskiego. Zrobił to w stylu znamionującym przyszłego mistrza, wzbudzającym zachwyt fachowców, szkoleniowców, kibiców. Najpierw w dziesiątkę współzawodników odskoczył od peletonu a kiedy Szurkowski zorganizował pogoń za nimi, nie zastanawiając się wiele odjechał do przodu z dwójką innych zuchów /Świnogą i Podwójniakiem/, by na finiszu długim sprintem pewnie wyskoczyć do przodu i zdecydowanie zwyciężyć.

Do tego tytułu dorzucił drugi - górskiego mistrza kraju, zdobył miano najlepszego „górala” w wyścigu dookoła Saksonii, drugą lokatę w klasyfikacji górskiej w Milk of Race oraz wygrał prolog w wyścigu dookoła Nadrenii, gdzie jechał po dwutygodniowej przerwie spowodowanej kontuzją. A gdyby nie defekt roweru zwyciężyłby też zapewne w mistrzostwach kraju w jeździe na czas /do chwili defektu jechał po najlepszy wynik/. Ukończył te mistrzostwa na wysokiej czwartej pozycji, ale był niepokieszony, bo marzył o zwycięstwie nad Tadeuszem Mytnikiem, który od lat królował w tej kolarskiej specjalności.

- Jest kolarzem wszechstronnym - charakteryzował go Mieczysław Szurko w „Ziemi Gorzowskiej”. - Świetnie jeździ w górach, na czas oraz w drużynie. Jest talentem najczystszej wody. Znając jego pracowitość i sumienność twierdzą, że wyróżnienie z niego zawodnik wielkiego formatu. Leszek jest konsekwentny i nadzwyczaj bystry, szybko pojmuje zawile tajniki taktyki, potrafi myśleć na trasie i umiejętnie rozkładać siły. A przy tym jest bojowy, walczy do końca i zawsze starczy mu sił.

Mistrzostw świata i tym razem nie zaliczył jednak do udanych. Po pechowym występie drużyny, która aż siedem razy przebiła gumy, równie pechowo pojechał w wyścigu indywidualnym - krasa na trasie uniemożliwiła mu walkę o czołowe lokaty.

Mimo niezbyt imponujących osiągnięć na arenie międzynarodowej ówczesny trener kadry narodowej, Andrzej Ruciński nie zniechęcił się do niego. Zdawał sobie sprawę, że ambitny kolarz z Gorzowa ma „papiery” na ściganie się, posiada rzadką umiejętność wyjechania się do końca, pracy na rzecz zespołu. Wykorzystał to tworząc drużynę z Piaseckim w roli głównej, która na mistrzostwach świa-



Lech Piasecki, Joachim Halupczok i Zenon Jaskuła. Mistrzowie dwóch kółek z tamtych lat...

ta 1983 roku w Szwajcarii zajęła czwarte miejsce, przegrywając do brązowych medalistów Norwegów tylko o pięć sekund. Była to najlepsza lokata w dotychczasowych jego startach, a zarazem najgorsza dla każdego sportowca z ambicjami, bo najbliższa wymarzonego medalu...

Debiut w Wyścigu pokoju również nie był taki, o jakim marzył. Janusz Zwań pisał w „Sztandarze Młodych”:

„Pamiętam etap do Taboru /.../. Wówczas to nasza drużyna wywalczyła zwycięstwo nad ludźmi Wiktora Kapitanowa. W sumie nie był to nieudany start dla białoczerwonych. Drugie miejsce zespołowo w końcowej klasyfikacji wyścigu, piąta lokata Tadeusza Krawczyka - to rezultaty godne odnotowania. Na tejsze czechosłowackiej drodze w deszczu i ślocie Piasecki przegrał prawie pół godziny. Najpierw defekt, później upadek. Został delegowany do holowania drugiego pechowca, lidera drużyny Andrzeja Serediuka. Na niewiele to się jednak zdało! Pod koniec etapu jechał z nisko pochyloną głową. Przegrany, zupełnie zrezygnowany. Wóz polskiej ekipy był daleko z przodu. Został bowiem spisany na straty. Odjechały również wozy sędziowskie. Prawa wyścigowej kolumny są bowiem bezwzględne. Nikt nie zajmuje się pechowcami. Przez kilka kilometrów towarzyszyłem w wozie prasowemu polskiemu kolarzowi. Muszę się teraz przyznać, że próbowałem nawet go podciągnąć. Leszek widział nasze próby. Nie skorzystał! Dał nam znać ręką byśmy pojechali do przodu, zostawili go sam na sam z jego słabością”.

1984 rok to przede wszystkim żal, że z powodu zapalenia ścięgna Achillesa nie wziął udziału w Wyścigu Pokoju, że podobnie jak inni

polscy sportowcy nie pojechali na igrzyska olimpijskie do Los Angeles i zadowolić się musiał startem w Zawodach Przyjaźni w Forst /NRD/. Zdobył jednak wreszcie tytuł najlepszego w kraju w jeździe indywidualnej na czas, ubiegając po raz pierwszy T. Mytnika, który znalazł godnego pogromcę i następcę w tej specjalności. Leszek jednak był już w tym czasie bardziej wszechstronnym kolarzem, co udowodnił dobitnie w następnym sezonie.

Od Szurki do Szurkowskiego

Jesienią 1984 roku nowym szkoleniowcem kadry szosowców został Ryszard Szurkowski, który jeszcze się ścigał, jeszcze odnosił nawet pewne sukcesy, ale już w opinii znawców przedmiotu był tym, który miał nawiązać do niezapomnianych tradycji szkoły trenera Henryka Lasaka, którego zresztą był wychowankiem. Szurkowski z impetem zabrał się do pracy zarażając entuzjazmem swych podopiecznych. Tak jak to robił kiedyś Łasak...

Ta zima na długo utkwiała Leszkowi w pamięci. Dla niego i innych wybrańców nowego trenera była ona szczególnie ostra i długa. Ale przyniosła też rewelacyjne wręcz efekty.

- To zasługa zimy - mówił później nieodżałowanemu Lechowi Cergowskiemu z „Przeglądu Sportowego”. - Zimy dobrze, solidnie przepracowanej i to z sensem. Wie pan, dużo zrobiła sama osobowość trenera. Czasami mieliśmy już dość, myśleliśmy o odpoczynku, a on sam na rowerze zwiększał jeszcze intensywność treningu. Skoro on może - głupio gdybyśmy nie równali kroku. To była robota solidna. Na Tour de l'Avenir /jesienią 1984 roku, wypadli fatalnie - J.D./ zabrakło nam tej wiary

w siebie, którą wpoił w nas mając ku temu pełne podstawy. Do tego czasu niby mi nawet szło, niby zdobywałem tu i tam tytuły mistrza Polski, ale brakowało mi tego błysku, który zawdzięczał panu Szurkowskiemu. I Tadeuszowi Mytnikowi. Ten ostatni ma jakąś zdolność zarażania nas swoim optymizmem, zapalem. To człowiek, który żyje szosą. Przy Tadeuszu Mytniku, nie sposób się obijać, głupio by było... Mówiąc krótko, mieliśmy szczęście pracować w oparciu o najlepsze wzory.

Pierwsze wiosenne starty potwierdziły, że białoczerwonych stać w tym sezonie na wiele. Tym razem Polacy przystępowali do Wyścigu Pokoju bez lęku i obaw, jak to bywało w latach minionych. „Ryszard Szurkowski nie tylko nauczył ich solidnie pracować, nie tylko wpoił zasady mistrzowskiego ścigania, ale jeszcze potrafił wlać w serca i głowy przekonania, że są najlepsi i jeśli ktoś ma się bać, to nie oni lecz rywale” - stwierdzał wielki autorytet kolarski, Lech Cergowski.

Reprezentacyjna szóstka na Wyścig Pokoju składała się z Pawła Bartkowiaka, Marka Kulasa, Marka Leśniewskiego, Andrzeja Mierzejewskiego, Zdzisława Wrony oraz Piaseckiego, którego trener Szurkowski tak charakteryzował przed startem: „Dobry w każdej kolarskiej specjalności, najwszechstronniejszy z całej grupy. Wybrany został kapitanem reprezentacji”. Trener taktownie i taktycznie przemilczał tylko jeden drobniaczek, że Piaseckiego właśnie wyznaczył na lidera swej grupy.

No i ten fantastyczny popis w XXXVIII Wyścigu Pokoju... Pierwszy Piasecki, drugi Mierzejewski! Druga lokata zespołu. Zwycięstwo w prologu i od pierwszego do ostatniego etapu - żółta koszulka lidera! Od Pragi przez

Krynalskoje do Berlina! Takim wyczynem popisali się przed nim tylko Vesely w 1948 roku i Pikkus w 1977. Stał się tym trzecim w długiej historii Wyścigu Pokoju. To był nokaut dla rywali, którzy mimo rozlicznych prób nie byli w stanie mu zagrozić. Gdyby nie zwyciężał Piasecki, moglibyśmy uznać ten wyścig za nudny - tak niewiele ciekawego ze strony innych się działo. Polacy bowiem rządili w peletonie jak za najlepszych czasów Szurkowskiego i Szozdy. Znow mieliśmy wspaniałych kolarzy! W ciągu kilku, kilkunastu wyścigowych dni Lech Piasecki stał się niemal bohaterem narodowym. Nic zatem dziwnego, że 25 maja w gorzkim amfiteatrze witały go tłumy ludzi, którzy przyszli by pogratulować i podziękować za ogromną radość, za chwile wzruszeń i niepowtarzalnych emocji. Były kwiaty, były upominki i puchary, było chóralne „sto lat”, i była też okolicznościowa rozmowa, którą publicznie przeprowadził Tadeusz Cegielski.

- Który etap był dla pana najtrudniejszy?

- Ten ostatni, do Berlina. Strasznie przeżywałem ten etap. Wiadomo dlaczego. Na dodatek zła była nawierzchnia dróg - dużo bruku, torów tramwajowych. W takich warunkach łatwo o defekt.

- Na czym polega jazda na lidera?

- Właśnie, trzeba powiedzieć, że na moje zwycięstwo pracował cały zespół. Chodziło zaś o to, żeby lider jak najmniej pracował na trasie, żeby oszczędzał siły na finisz.

- Kiedy uwierzy pan w możliwość wygrania całego wyścigu?

- Po zwycięstwie na Kryłatskoje. Wówczas uwierzyłem, że jestem w stanie dowieźć żółtą koszulkę lidera do mety w Berlinie. Udało się.

- Rywale byli tacy słabi czy wy byliście tacy mocni?

- Myślę, że to my byliśmy wyjątkowo mocni, że rywale wcale nie byli tacy słabi.

- Pan prowadził, ale na drugiej pozycji jechał kolega z zespołu. Co byliby, gdyby wicelider miał okazję wygrać z liderem?

- Od początku było wiadomo, że ja jestem liderem, ale to wcale nie oznaczało, iż nie mógłby wygrać ktoś inny z zespołu. Zawsze jest najważniejsze, aby wygrał ktoś z drużyny, jeden z nas. Tak np. było podczas jednego z wyścigów we Włoszech, gdzie przed ostatnim etapem

ja byłem liderem i wyprzedzałem Bartkowiaka. Na ostatnim etapie „poszła” jednak ucieczka z Bartkowiakiem i on wygrał cały tour. I nie było sprawy.

- Widział pan w ogóle Wyścig Pokoju?

- Kiedyś oglądałem, ale nie w tym roku.

- To się zgadza - bo najczęściej jechał pan z przodu i nie widział co się dzieje w peletonie. Jak się pan czuje w roli zwycięzcy?

- Przyznam się szczerze, że wszystkie te imprezy organizowane po wyścigach bardziej mnie męczy niż jazda na rowerze.

... Szczery, bezpośredni, uczciwy, skromny i bardzo nieśmiały, kiedy nie siedzi na rowerze. Takim był, takim pozostał. Po prostu „Piasek”...

Okrzyczany kolarzem wybitnym przygotowywał się do pamiętnych mistrzostw świata, gdzie był jednym z faworytów w wyścigu indywidualnym. Nic to jeszcze nie znaczyło. Kolarski wyścig o mistrzostwo świata jest przecież szansą i dla wielkich, i dla małych. Nie wystarczy być mocnym i mieć wsparcie kolegów. Trzeba jechać mądrze i szczęście wozic ze sobą. Wystarczy chwila nieuwagi, czyjeś potknięcie obok, efekt... I lidera nie ma, jest outsider. Zresztą przykład Mierzejewskiego starczy za dowód.

Piąte miejsce w wyścigu drużynowym nie nastrajało zbyt optymistycznie przed indywidualną próbą. No i ten bark nieszczęsny... Kto później o tym pamiętał?! Tylko nieliczni obserwatorzy zauważyli grymas na jego twarzy, gdy na przedostatnim okrążeniu, po udanej pogoni za Włochem i Duńczykiem, sięgnął po bilon i popijał powoli. On sam zachował w pamięci tylko strzępy wyścigu i tego co się na mecie działo. Został mistrzem świata. Reszta się nie liczyła...

Triumfalny powrót do kraju, znowu gratulacje, owacje i honory. Wszystko to, co związane jest z mistrzowskim tytułem, co przynależne jest mistrzowi, a czego on za bardzo nie lubi.

Bardziej odpowiadał mu powrót do kolarskiej rzeczywistości. Z rowerem na szosę. Tu był w swoim żywiole. Zwyciężył więc jeszcze w krajowym championacie w jeździe indywidualnej na czas, w jeździe parami - z nowym kolegą klubowym, Zenonem Jaskułą, który przeniósł się akurat z Poznania do Gorzowa.

Piasek to był Piasek, czyli kolarz na medal

To był dobry rok, jak swego czasu śpiewały „Czerwone gitary”. To był jego dobry sezon. Zakończył go na balu mistrzów sportu, a właściwie na dwóch balach. Najpierw w Gorzowie, gdzie wybrano go najlepszym sportowcem regionu, a gratulacje składała mu m.in. sama Miss Polonia'85 Katarzyna Zawidzka, następnie zaś w Warszawie, gdzie dowiedział się, że odniósł jeszcze jedno zwycięstwo - w plebiscycie „Przeglądu sportowego” na sportowca 1985 roku.

Był to jego ostatni sezon w towarzystwie amatorów.

Od Szurkowskiego do Langa

W dniu kiedy Piasecki przywdziewał w Giavera Del Montello tęczową koszulkę mistrza świata pojawiły się już spekulacje o przejściu na zawodowstwo. Wymieniono nazwy zainteresowanych stajni, podawano kwoty transferu. On nie miał nic przeciwko, by zmierzyć się z profesjonalistami. Trener Szurkowski też uważał, że jego sukces należy jakoś wygrać, z pożytkiem dla sportu, kolarstwa, dla samego Piaseckiego. Zawodowstwo? Dlaczego nie? Nikogo więc nie zdziwiła kilka tygodni później informacja, że kolarz Orląt Gorzów podpisał zawodowy kontrakt z włoską grupą Del Tongo-Colnago.

Tym, który przecierał nowe szlaki, który w 1982 został pierwszym polskim kolarzem zawodowym był Czesław Lang. Zawodnik nie byle jaki. Srebrny medalista mistrzostw świata w 1979 roku w wyścigu drużynowym /wspólnie z Janem Jankiewiczem, Witoldem Pluteckim i Stefanem Ciekańskim/ oraz srebrny medalista igrzysk olimpijskich 1980 roku w Moskwie, gdzie na słynnym Kryłatskoje przegrał tylko z legendarnym Suchoruczenkowem. Jako „profil” jeździł w barwach grupy Carerra, następnie Del Tongo-Colnago, w której spełniał rolę człowieka do wszystkiego, był opoką dla lidera Giuseppe Saroniego.

Wybór Piaseckiego nie był więc przypadkowy. Zawsze to lepiej mieć jakąś bratnią duszę w obcym, nieznanym towarzystwie. Lang okazał się jednak dla niego czymś więcej niż bratnią duszą, będzie jego wiernym przyjacielem i znakomitym przewodnikiem po zawodowym peletonie, który rządzi się całkiem innymi prawami, inne obowiązują zasady i reguły walki, inne też są wymagania. Czesław musiał uczyć się na własnych błędach, Leszek mógł już uczyć się od niego.



Fot. Archiwum

Jazda na rowerze przyniosła mu medale, sławę i niezapomniane przeżycia. Nic zatem dziwnego, że po zakończeniu sportowej kariery zajął się rowerowym biznesem

Przyzwyczajony do wygrania i dyktowania swoich warunków musiał pokornie odkrywać kolarstwo jakby na nowo. Dzięki pomocy Langa łatwiej było mu przejść przez trudny okres nowicjatu znaczonego przykrymi rozczarowaniami, mniejszymi i większymi zwycięstwami, dogłębnym poznawaniem swej siły i słabości. Lang miał więc swój udział w zdobyciu przez niego, po pierwszym sezonie, miana najlepszego „neoprofi”, czyli najlepszego kolarza debiutującego wśród zawodowców. Ale też od początku pozycja Leszka w grupie Del Tongo-Colnago była inna niż wielu pozostałych debutantów. Godna mistrza świata „dieta”. Nie był liderem, ale też nie miał z góry nałożonego obowiązku jazdy dla lidera. Pracował na własne konto, w zależności od rozwoju sytuacji pomagał liderowi albo pozostali - z liderem włącznie - pomagali jemu.

Znakomity w samotnej jeździe na czas i dwójkami, motor napędowy w wyścigach drużynowych. Tu odnosił prestiżowe zwycięstwa, tu zdobywał autorytet i sławę, którą ugruntowały jego harce w peletonie kiedy trzeba było wyjść na prowadzenie i dać taką zmianę, by co słabsi przestali podnosić głowy, a mocni z szacunkiem zabrali się do roboty.

Wielkie wyścigi zawodowców, jak chociażby Giro d'Italia czy Tour de France, rozstrzygają się na górskich podjazdach, stromiznach, na szczytach niema! niedostępnym amatorom. On, jeden z najlepszych „górali” Wyścigu Pokoju, męczył się tutaj okrutnie, z przerażeniem patrząc, że zostaje z tyłu, że inni po prostu w zawrotnym tempie odjeżdżają. Nawet Czesław Lang zdawał się być dla niego niedoścignionym profesorem.

Tego musiał się dopiero nauczyć... To tylko sprawa przyzwyczajenia, przejechania stosownej porcji kilometrów we właściwym towarzystwie, mówił mu Czesiek w chwilach wątpliwości. Wierzył mu, bo widział efekty swego przyuczania, bo przed każdym następnym szczytem w każdym następnym tourze coraz mniej było w nim przerażenia, coraz więcej zaś wiary we własne siły, choć czuł, że mistrzem górskich wspinaczek już chyba nie będzie.

W drugim sezonie szykował się już do zajęcia miejsca starzejącego się lidera grupy Saroniego. Tymczasem sezon był fatalny. Jedyne sukcesy jakie odniósł, był dość żalony. Wygrał prolog Tour de France, założył żółtą koszulkę lidera, którą musiał oddać po pierwszym etapie, po siódmym zaś wycofał się z wyścigu. Nie dał rady. Na pewno wpływ na jego postawę miała kontuzja, jakiej doznał na wiosnę. Zerwanie ścięgna Achillesa jest dla kolarza szczególnie przykre.

No i te góry... Dla wielu fachowców stało się jasne, że Piasecki raczej nie wygra któregoś z wielkich tourów, bo tam o sukcesach decydują przecież góry, powinien więc poszukać sobie bardziej odpowiadające mu miejsce w zawodowym peletonie, jeśli nie chce zbyt szybko stać się wozniwą...

1988 rok pokazał, że Leszek takiego miejsca szukał i znalazł. Nie zrezygnował z ambicji odgrywania znaczącej roli w wyścigach wieloetapowych i typowych „klasykach”, ale skoncentrował się na tym, w czym z wyjątkiem był dobry. Stał się wybitnym specjalistą samotnego ścigania się na czas, jazdy drużynowej /tu wraz z Langiem/, co w świecie zawodowców jest bardzo wyso-

ko cenione i opłacalne dla sponsorów, gdyż w przypadku zwycięstwa mass media nie podają nazwisk zawodników lecz nazwę grupy, czyli sponsora.

Sprawdził się również na torze. 24 sierpnia na torze w Gandawie /Holandia/ wywalczył złoty medal w wyścigu na 5 kilometrów na dochodzenie! Jadąc w białoczerwonym trójkacie z niewielkim tylko napisem „Del Tongo-Colnago” zdobył tęczową koszulkę mistrza świata! Po raz pierwszy jako zawodowiec! Jako pierwszy Polak! Po raz drugi jako kolarz!

Zapytany o to, którą ze swych tęczowych koszulek ceni bardziej, odparł, że tę z Gandawy...

Nie był to jego pierwszy start i pierwszy medal uzyskany na torze. W 1984 roku próbując swych sił, w Żyrardowie, w mistrzostwach kraju w wyścigu długodystansowym na 100 okrążeń sprawił niespodziankę ulegając jedynie Leszkowi Stępniewskiemu. Innym razem w wyścigu na 4 kilometry na dochodzenie był czwarty.

Bardziej doświadczonym torowcem był Lang, który przez wiele lat należał do kadry narodowej tej specjalności. Obaj wybrali się więc w 1987 roku do Paryża na słynną sześciodniówkę w hali „Bercy”. Zaczęli obiecująco, ale mający braki techniczne Piasecki dotkliwie się potłukł, jeździł ostrożnie i sponsorzy stracili zainteresowanie do torowych prób Leszka.

Przed mistrzostwami świata 1988 roku Lang przekonał Piaseckiego, by ten wystąpił również na torze. Trudniej jednak było przekonać panów Del Tongo i Colnago, aby zechcieli sfinansować to sportowe przedsięwzięcie. Żaden bowiem sponsor nie lubi wyrzucać pieniędzy w błoto, w mistrzostwach na torze ści-

gają się więc tylko najlepsi, mający szansę na medale, bo w zawodowym kolarstwie, a szczególnie w jego wydaniu torowym liczy się tylko mistrz świata i nikt więcej. A zdecydowanym faworytem w wyścigu na dochodzenie był Anglik Tony Doyle, było też kilku innych pomniejszych kandydatów do złotego medalu. Poza tym w mistrzostwach świata każdy reprezentuje swój kraj, nie grupę finansowaną przez ludzi biznesu. Sponsorów, zwłaszcza bardziej opornego pana Del Tongo przekonało dopiero zwycięstwo „Piaska” w Pucharze Włoch, gdzie w finale pokonał wicemistrza świata Duńczyka Jasperra Werre, który od wielu miesięcy przygotowywał się specjalnie do startu na torze.

W Gandawie Jaspersa Worre pokonał w półfinale, a Tony Doyle zwyciężył w finale. Wyścig finałowy trwał zaledwie sześć minut, ale były to minuty, w czasie których, jak sam mówił, przypomniał sobie całe swe życie. Taki to był wysiłek. Bo wyścig na dochodzenie ma wiele wspólnego z indywidualną jazdą na czas. To samotna pogoń za czymś co zobaczyć można dopiero na mecie. Ale na torze wysiłek jest większy, bo w zasadzie krótszy...

Sukcesu gratulował mu cały zawodowy peleton, gratulowali także kibice, choć nie odegrał większej roli w mistrzostwach na szosie. Mistrz świata to mistrz świata! W kraju znaleźli się jednak zawodowi malkontenci, którzy usiłowali deprecjonować jego osiągnięcie.

- Jest mi ogromnie przykro - mówił w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego” - bo przecież wywalczyłem ten złoty medal jadąc w białoczerwonej koszulce. W Gandawie grano mi Mazurka Dąbrowskiego. Ktoś chyba złośliwie chce pomniejszyć moje sukcesy. Zupełnie tego nie rozumiem. Wyścigi ze startu wspólnego mają w sobie coś z loterii, a „czasówki” i tor - to nie ma przypadku. Zwyciężają najlepsi.

Podobnego zdania byli polscy kibice, którzy w plebiscycie „Trybuny Ludu” i TVP wybrali go sportowcem miesiąca sierpnia 1985 roku. Za nim dopiero znalazła się mistrzyni świata w pięcioboju nowoczesnym, Dorota Idzi. Skoro mowa o plebiscytach, warto w tym miejscu wspomnieć, że w 1986 roku z okazji 100-lecia kolarstwa polskiego zorganizowano plebiscyt na najlepszych kolarzy w historii tego sportu. Zwyciężył Ryszard Szurkowski przed Stanisławem Szozdą i Lechem Piaseckim. Za nim

uplasowali się Stanisław Królak, Janusz Kierzkowski, Janusz Kowalski, Czesław Lang, Tadeusz Mytnik, Jan Jankiewicz i Rajmund Zieliński. Gdyby ten plebiscyt odbył się dwa lata później...

Potwierdzeniem jego wysokich umiejętności był start w wyścigu Trofeo Baracchi, uznawanym za nieoficjalne mistrzostwa świata w jeździe parami na czas. Piasecki wraz z Langiem, jakże inaczej, zwycięsko pokonali 96,6 kilometrów trasę w czasie 1:55,19, czyli w tempie w jakim jeżdżą amatorskie czwórki w wyścigach po medale. Polacy byli najlepsi wśród najlepszych.

Dobra passa trwała nadal. Po zwycięstwie w Trofeo Baracchi wygrali z kolegami z grupy Del Tongo-Colnago kolejną dużą i szeroko reklamowaną we Włoszech imprezę - Wielką nagrodę Europy, rozgrywaną po raz 21. Zasług Polaków nikt nie kwestionował.

To był kolejny dobry sezon Leszka Piaseckiego. Następny nie był już tak udany, choć początek był wielce obiecujący. Na wiosnę wygrał kilka wyścigów i wystąpił w Giro d'Italia, gdzie zwyciężał na trzech etapach. Później miał być start w Tour de France, ale grupa tam nie pojechała i praktycznie uciekły dwa miesiące ścigania. Nie narzekał, choć liczył na więcej.

W 1990 roku powstała polsko-włoska grupa Diana Colnago Animex. Znalazł się w niej oczywiście Piasecki, ale także i Zenon Jaskuła, który podążył jego śladem. Mimo intensywnych przygotowań, nie był to zbyt udany sezon. Jakby zabrakło szczęścia - czuli się mocni, ale brakowało sukcesów, tych najbardziej liczących się w kolarskim światku.

Z nowymi nadziejami wyjechał na szosę w 1991 roku. Ścigał się jednak tylko do kwietnia.

- Byłem zmęczony psychicznie - mówi. Z żoną rozkręcili już interes w Gorzowie i trudno mi było skoncentrować się na ściganiu, a kolarz zawodowy nie może myśleć o czymś innym, bo to natychmiast odbija się na wynikach. Postanowiłem, więc zakończyć karierę sportową i zająć się wyłącznie interesami.

W wieku 29 lat Leszek Piasecki zsiadł więc z wyczynowego roweru. Od kolarstwa nie odszedł jednak tak całkiem. Od lat pomaga Czesławowi Langowi przy organizacji Tour de Pologne, a i od czasu do czasu można go zobaczyć na rowerze w okolicach Gorzowa.

JAN DELIJEWSKI
„Przygody ze sportem”,
Agencja DEJAMIR, 1995

Nie udało mu się tylko zdobyć złotego medalu

Wiadomość o śmierci Zenona Plecha wstrząsnęła nie tylko środowiskiem żużlowym.

Nie mieszkał w Gorzowie od 1977 roku, ale jego występy w barwach Stali odciśnęły na tyle mocne piętno, że nawet dzisiaj jego nazwisko jest TUTAJ na równi stawiane z **Edwardem Jancarzem**. Obaj zresztą w latach siedemdziesiątych byli najlepszymi żużlowymi ambasadorami w świecie.

Topienie myszy

Zenon Plech urodził się w Zwierzyniu, niedaleko Strzelca Krajeńskich. Było to w Sylwestra 1952 roku, choć akt urodzenia wystawiono mu z datą 1 stycznia 1953 roku. Lubił jeździć na rowerze, biegać, potem jeździł na „komarku”, czasami podkradał ojcu WFM-kę. Żużlowego ślizgu uczył się zimą na zamrzniętym stawie. Doskonale wiedział, co to jest żużel, interesował się wynikami żużlowców Stali. Cieszył się, kiedy Jancarz zdobył brązowy medal w Goeteborgu, ale aż do przeprowadzki do Gorzowa nigdy nie miał okazji być na zawodach.

Po szkole podstawowej zamieszkał w internacie w Gorzowie, podejmując naukę w Liceum Ogólnokształcącym nr 19 przy ul. Przemysłowej. Jak potem opowiadał, w podstawówce nieźle się uczył, dobrze szło mu szczególnie z przedmiotów ścisłych. Ale najlepiej wychodziły mu psoty, których dopuszczał się już w dzieciństwie. Lubił opowiadać, jak pewnego dnia zobaczył w klasie mysz, która uciekła do dziury. Postanowił więc ją utopić, wlewając w to miejsce mnóstwo wody. Nie zauważył, że woda w poszukiwaniu ujścia przemoczyła podłogę i z czasem zaczęła kapać do klasy znajdującej się poniżej.

Trenował na batucie

Żużlem na poważnie 16-letni Plech zainteresował się po obejrzeniu pierwszego meczu, w którym to Stal walczyła z Wybrzeżem Gdańsk. Był to rok 1969. To wtedy usłyszał komunikat o naborze do szkółki. Gdy przyszedł na zajęcia, ujrzał 150 chętnych. Nie przejął się tym, ale z ciekawieniem czekał na swoją kolej. Najbardziej ciekawiło go, jak można ścigać się przy tak dużych prędkościach na zamkniętym torze bez hamulców.

Już pierwsze treningi pokazały, że chłopak miał talent. Prowadzący z nim zajęcia Andrzej Pogorzelski co chwilę kręcił głową z zachwytem. Największym kłopotem były słabe wyniki w nauce. Zenek wołał żużel niż siedzenie nad książkami. Sam kie-

dyś przyznał, że zaczęła odbijać mu popularna „sodoweczka”. Do tego mama nie była wcale uradowana faktem, że syn chce jeździć i nigdy nie podpisała mu zgody. Uczynił to dopiero ojciec, kiedy poprawił wyniki w nauce dostał zgodę na ponowną jazdę. W maju 1970 roku zdał egzamin licencyjny i bardzo szybko został rzucony na głęboką wodę. Razem z Bogusławem Nowakiem trafił do ligowej drużyny. Od razu zaczął wyróżniać się nieszablonową jazdą. Widowiskową dla oka, ale często niebezpieczną. Bywało, że na jednym treningu leżał siedem razy, a na innych pogiął pięć kół. Prawie zawsze wychodził cało z opresji, a pomagały mu w tym ćwiczenia na batucie, gdzie wypracował dobrą gibkość.

Najmłodszy mistrz

W pierwszych latach startów Plech bardzo szybko wpiął się po żużlowych szczeblach. Zaczął od czwartego miejsca w finale młodzieżowych mistrzostw Polski w Zielonej Górze, w następnym roku razem ze Zbigniewem Marcinkowskim ze Zgrzeblarek Zielona Góra i Grzegorzem Kuźniarem z Stali Rzeszów wywalczył Srebrny Kask. To był jedyny przypadek, żeby to trofeum trafiło jednocześnie do trzech zawodników. W 2017 roku podobna historia przydarzyła się w Brązowym Kasku, na skutek przerwania finału po trzech seriach. Powracając do Srebrnego Kasku w 1971 roku wszyscy wymienieni zawodnicy mieli taki sam dorobek punktowy po rozegraniu kilku turniejów, a regulamin nie przewidywał rozegrania biegu dodatkowego.

Świetne pierwsze występy zaowocowały powołaniem Plecha do kadry narodowej oraz prezentem w postaci wyjazdu na światowy finał indywidualnych mistrzostw świata w Wembley w 1972 roku. Dla nastolatka było to duże wydarzenie. Zwłaszcza, że mógł pojeździć na oficjalnym treningu, co było rzeczą niespotykaną. Natomiast już w trakcie finału pomagał w parkingu Pawłowi Waloszko- wi.

- To wtedy poznałem Barry Briggsa, który sam podszedł do mnie, przedstawił się i powiedział, że zrobiłem na nim duże wrażenie podczas jazd treningowych. Nazajutrz zaś włos jeżył mi się na głowie, jak usłyszałem szalejących kibiców. Atmosfera Wembley zawsze była niepowtarzalna - wielokrotnie potem opowiadał.



Fot. Archiwum

Z. Plech swoją wielką karierę rozpoczął w gorzowskiej Stali, skąd przeniósł się do gdańskiego Wybrzeża

Prosto z Londynu razem z Waloszką udał się do niemieckiego Olching i tam świętował swój pierwszy międzynarodowy sukces. Jako 19-latek poprowadził polską reprezentację do brązowego medalu w drużynowych mistrzostwach świata. Zdobył siedem punktów w czterech biegach i był najlepszy z białoczerwonych. Tydzień później na torze w Bydgoszczy został najmłodszym indywidualnym mistrzem Polski w historii.

- Z Olching wracałem razem z Heniem Glücklichem i dużo rozmawialiśmy o zbliżającym się finale IMP. Przez całą drogę Heniu zapewniał mnie, że nawierzchnia będzie twarda i równa. Dzień przed finałem także Stasiu Kasa mówił mi to samo, a pojechaliśmy na typowej bydgoskiej kopie. Nie przywiązywałem do tego uwagi, bo nie nastawiałem się na zwycięstwo. Wygrałem, bo Glücklich miał defekt w jednym z biegów, ale taki jest ten żużel. Z tytułu oczywiście cieszyłem się, to naturalne - tak zrelacjonował tamten sukces.

Stracona szansa

W czerwcu 1973 roku cieszył się z drugiego medalu w mistrzostwach świata. Tym razem pojechał z Marcinkowskim w szwedzkim Boras w finale par. Złoto było blisko, srebro jeszcze bliżej, a skończyło się na brązowym medalu. - Niepotrzebnie straciłem dwa punkty w biegu z Norwegami, a potem jeszcze przegrałem baraż z niepokonanym tego dnia Ole Olsemem. Medal jest zawsze me-

dalem i odebrałem ten wynik jako sukces - skwitował.

Kiedy 2 września 1973 roku „Super Zenon” zobaczył wypełniony do ostatniego miejsca Stadion Śląski w Chorzowie wiedział, że mnóstwo kibiców postawiło na niego, choć był debiutantem. Prosił żeby nie wywierać na niego presji. Zakończył zawody na trzeciej pozycji. Przed nim byli Jerzy Szczakiel i Ivan Mauger, który sprawę mistrzowskiego tytułu rozstrzygnęli w wyścigu dodatkowym. Plech też mógł w nim pojechać, ale w ostatnim biegu został przewrócony przez Grigorija Chłynowskiego i zamiast wygranej sędzia zgodnie z regulaminem przyznał mu dwa punkty.

Na talencie Plecha szybko poznał się żużlowy świat. Już w styczniu 1974 roku razem z Edwardem Jancarzem wybrał się na tournée do Australii, a potem z kilkoma zagranicznymi zawodnikami poleciał do Stanów Zjednoczonych. Z drodzy powrotnej do Australii podczas międzylądowania na Fidżi razem z ekipą spóźnił się na samolot. Potem dowiedzieli się, że nie doleciał on do celu i wszyscy zginęli.

Na dwóch oponach

W 1975 roku Plech otrzymał propozycję startów w lidze angielskiej w ekipie Hackney Hawks. Pomimo, że pojechał dopiero pod koniec września zdążył wystąpić w 17 imprezach. Co ciekawe, uczynił to na zaledwie dwóch oponach. Na krótkich i technicznych torach jeździło mu

się bardzo dobrze i od razu podpisał kontrakt na starty w 1976 roku. W kraju był rzadko, na mecze Stali praktycznie nie przyjeżdżał. Pojawił się tylko w Opolu i Rybniku.

Kiedy wydawało się, że żużlowy świat znalazł się u jego stóp, coś mu do końca nie wyszło. Dokładnie start w finale IMŚ w Chorzowie w 1976 roku, na który mocno się nastawił. Bardzo chciał ponownie stanąć na podium. Zajął piąte miejsce, ale kiedy już ochłonął nie czuł się tym wynikiem rozczarowany. Wiedział, że pomiędzy polskim a światowym żużlem jest coraz większa przepaść. Sprzętowa oczywiście. On sam jeszcze dysponował niezłymi motocyklami, gdyż startował w lidze angielskiej, ale do nowinek nie miał już dostępu. Dlatego był piąty. Pozostali jego koledzy z reprezentacji zajęli odległe miejsca, taplając się w krajowym sosie.

Kierunek Gdańsk

W 1977 roku Zenon Plech stał się bohaterem najgłośniejszego transferu w polskim żużlu. Jego początek miał miejsce z chwilą wyjazdu do Anglii. Spodobało mu się tam i chciał jeździć dalej, ale kiedy powiedział to władzom klubu usłyszał, że nie dostanie więcej zgody. Zimą Plech wyleciał do Australii na cykl kilkunastu startów, lecz zdążył złożyć w klubie pismo z prośbą o skreślenie go z listy członków. Argumentował decyzję chęcią przejścia do gdańskiego Wybrzeża. - Chcę studiować prawo morskie na Uniwersytecie Gdańskim - tłumaczył, choć wcześniej otrzymał możliwość studiowania w Gorzowie w filii poznańskiego AWF.

- O żadne studia nie chodziło - wspomina pełniący w tym czasie funkcję prezesa Stali, **Witold Głowania**. - Kiedy Zenek oznajmił, że promotor chce podpisać z nim kolejny kontrakt nie zgodziliśmy się, ponieważ do Anglii wyjeżdżał Edek Jancarz. Obawialiśmy się, że zostając bez dwóch najlepszych zawodników nie będziemy już silnym zespołem, a dla nas priorytetem była polska liga. I wtedy Zenek poszedł dogadywać się z Wybrzeżem. Wiele mu tam naobiecowano. My nie zgodziliśmy się na transfer, ale był to milicyjny klub i załatwił, że wcielono go do wojska. Do Anglii nie pojechał dopiero pod koniec września zdążył wystąpić w 17 imprezach. Co ciekawe, uczynił to na zaledwie dwóch oponach. Na krótkich i technicznych torach jeździło mu

bowiem trochę inne czasy niż teraz. Sportowcy nie mogli ot tak sobie przejść z klubu do klubu. Chyba, że za zgodą macierzystego stowarzyszenia. W innym przypadku groziła karencja. I kiedy zaczęto szukać kompromisowego rozwiązania na początku maja 1977 roku Plech dostał wspomniane wezwanie do wojska w Gdańsku. Tak naprawdę obie strony w tym momencie straciły. Plech musiał założyć mundur wojskowy i przez to nie wyjechał do Anglii przez dwa kolejne lata. Stal straciła za to świetnego zawodnika i małą pociechę było to, że w tym czasie do Gorzowa przyszedł **Bolesław Proch**.

Bliski złota

Na Wyspy Plech powrócił w 1979 roku i o mały włos, a zostałby indywidualnym mistrzem świata. Ponownie zabrakło mu niewiele, został srebrnym medalistą. Przegrał tylko z Maugerem. Znowu zabrakło mu jednego punktu do walki o najcenniejszy laur.

Zenon Plech w trakcie swojej kariery kolekcjonował medale mistrzostw świata. Nie udało mu się tylko nigdy zdobyć złotego. W sumie miał trzy srebrne i osiem brązowych.

Na krajowych torach jego bilans był zdecydowanie lepszy. W IMP zdobył pięć złotych medali, a do tego dorzucił jeszcze dwa srebrne. W parach miał dwa złote, dwa srebrne i jeden brązowy medal, a w lidze trzy złote oraz cztery srebrne. Trzykrotnie sięgnął po Złoty Kask i raz po Srebrny.

Karierę Plech zakończył dosyć szybko, bo już w wieku 34 lat. Było to w 1987 roku, kiedy polski żużel przechodził poważny kryzys. Potem miał się różnych zajęć, ale starał się cały czas być przy żużlu. W 1996 roku powrócił do Gorzowa jako trener. W następnym sezonie zdobył nawet ze Stalą wicemistrzostwo Polski, a rok później poprowadził Tomasza Bajerskiego i Krzysztofa Cegielskiego do złotego medalu w parach. W 2001 roku został trenerem kadry i sięgnął z nią po wicemistrzostwo świata. Pracował w Bydgoszczy, był ekspertem telewizyjnym, prasowym, pomagał układać jednorazowe tory w Warszawie i Chorzowie. Niestety, od lat borykał się z różnymi chorobami, w tym cukrzycą. Do tego doszły problemy z nerkami, często musiał jeździć na dializy. Pomimo, że chorował kochał przyjeżdżać do Gorzowa. Ostatnio był na turniejach Grand Prix. Z naszym miastem pożegnał się więc na stacidonie.

ROBERT BOROWY

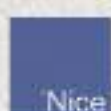
r e k l a m a



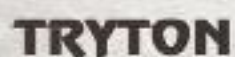
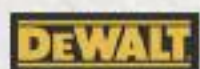
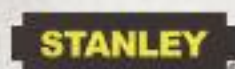
METALPLAST



HYDRAULIKA | NARZĘDZIA | ELEKTRONARZĘDZIA | ELEMENTY ZŁĄCZNE | ZAWIASY
ELEMENTY OGRODZENIOWE | AUTOMATYKA DO BRAM | AKCESORIA MEBLOWE I DRZWIOWE



somfy.



METALPLAST GORZÓW WLKP., UL. GARBARY 9

Sekretariat 724 555 536, Dział Metalowy 724 555 546

Dział Akcesoriów Drzwiowych i Okiennych 724 555 538

Dział Akcesoriów Meblowych 724 555 537

www.metalplastgorzow.pl, market@metalplastgorzow.pl

godziny otwarcia: 8⁰⁰-18⁰⁰, sob. 9⁰⁰-14⁰⁰

